



**BIBLIOTEKA
H U M O R U**

6

**Antologja
polskiej
parodji
literackiej**

**ANTOLOGJA
POLSKIEJ PARODJI LITERACKIEJ**

BIBLIOTEKA HUMORU T-WA WYDAWNICZEGO

ROK PIERWSZY

KSIĄŻKA VI



REDAKTOR JULJAN TUWIM
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MAZOWIECKA 12

<http://rcin.org.pl>

ANTOLOGJA POLSKIEJ PARODJI LITERACKIEJ

INSTYTUT
BADAŃ I ZBIERKICH PAN
Biblioteka
ul. Chałubińskiego 72
00-900 Warszawa
tel. 26-52-83, 26-52-81 w. 42



WARSZAWA/MCMXXVII/KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA 11

25
<http://rcin.org.pl>

Historja parodji w Polsce nie trudna byłaby do napisania. Literatura nasza uboga jest w utwory tego rodzaju. Wymagają one wysubtelnienia umysłu i czułości wyczuwania strony formalnej rzemiosła. Parodja polega najczęściej na karykaturze składu i słownictwa, a świadomy stosunek do tych rzeczy zjawia się na dość wysokim stosunkowo szczeblu kultury literackiej.

Parodję możnaby zasadniczo podzielić na dwie kategorie. (Zresztą ten podział jak każdy inny będzie tylko linią orientacyjną, niepodobna bowiem przeprowadzić tu zasadniczo ścisłych granic). Do pierwszej kategorii należy znacznie wcześniej zjawiająca się i do dziś dnia trwająca parodja rodzaju literackiego. Istnieje nawet specjalny gatunek takiej parodji, podniesiony do osobnej godności w klasyfikacjach literackich. Jest to tak zwane „poema heroi-komiczne“, które już w samym założeniu swem ma tendencje parodystyczne i karykaturalne; mamy w naszej literaturze bardzo piękne okazy tego gatunku jak np.: „Myszeis“ Krasickiego czy „Darczanka“ Woltera-Mickiewicza. W naszych

czasach „parodję rodzaju literackiego“ z dużym powodzeniem uprawia Magdalena Samozwaniec, której karykatury, jak np. zamieszczona w niniejszym tomiku parodja „powieści historycznej“, nie zajmują się rysunkiem cech indywidualnych poszczególnych autorów, lecz wyolbrzymiają wspólne cechy całego szeregu pisarzy.

Znacznie później zjawia się parodja indywidualnych cech literackich. U nas rodzaj ten jest mało stosunkowo rozrośnięty; szczególnie dowcipnie uprawiany jest przez złośliwych poetów z grupy „Skamandra“. Na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, rodzaj ten dosięgnął prawdziwych szczytów sztuki pisarskiej. Słynne parodje Pawła Reboux zebrane w trzech tomach p. t. „A la manière de...“ są tego najlepszym przykładem. Znacznie wyżej jednak od popularnego Reboux stoją „pastiche“ Marcellego Prousta. Ten wielki artysta wychodził zawsze z ducha naśladowanego pisarza i dobierając słów i zdań charakteryzujących pierwowzór, starannie unikał dosłownego powtarzania. To też naśladownictwa te są najlepszymi utworami tego rodzaju.

Osobno stoi w omawianym dziale to, co nazwałbym „parodją nastroju“. Nie jest to ani karykatura form literackich, ani karykatura cech indywidualnych pewnego pisarza. Jest to, że tak powiem obnażenie absurdu, jaki się kryje w nastroju pewnego genre'u czy utworu. Ten subtelny i trudny rodzaj ma w niniejszym tomie dwóch reprezentantów.

Jeden to Słowacki ze swoją balladą „Czy to pies? Czy to bies?“, w której nastrój balladowy został zdezawuowany. Drugi to Boy, który w swej „Przygodzie rodziny Połanieckich“ zdecydowanym gestem stawiając kropki nad „i“ wydobywa i podkreśla podskórny, „ciepły“ erotyzm Sienkiewicza.

Tomik niniejszy, nie mający żadnych pretensyj ani do naukowości, ani do chociażby częściowego wyczerpania przedmiotu, starał się jednak uwzględnić wszystkie charakterystyczne rodzaje parodji od „poważnego“ poematu heroikomicznego poczynając, a na wesołych i złośliwych baraszkach skamandrytów kończąc.

A U T O P A R O D J A



IGNACY KRASICKI

Parodja pieśni: „Wdzięczna miłości kochanej ojczyzny!”

„Wdzięczna miłości kochanej szklenicel“
Czuje cię każdy i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośne duszność i ból głowy.
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy,
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić“.



PARODJA POEMATU PSEUDO-KLASYCZNEGO



ADAM MICKIEWICZ (PRZEKŁAD Z WOLTERA)

Darczanka (Fragment) Opowiadanie mnicha

— — — — —
„O Joanno zuchwał! Buntowna Joanno!
Jużbyś się z naszych rączek niewyslizła panna.
Próżne były hałasy, marna łamanina —
Już mulnik chwycił z dołu i na wznak wypina,
A ja tymczasem z góry dobywałem grzechu,
A Hermafrodyt, widząc, pękał się od śmiechu.
Wtem! czyliż dacie wiary? o straszne widziadła!
Kraina się powietrzna nad nami rozpadła,
Z kraju, co niebem zwany, od piekła daleki,
Gdzie ni ja, ni wy bracia, nie będziem na wieki,
Spuszcza się kłapoucha, bestyja też sama,
Co niegdyś głosem ludzkim złąkła Balaama.
Osieł to był, niestety! ale osieł jakil
Miał i kulbakę pyszną i miecz u kulbaki..
Z oboich barków para mu skrzydeł wyrasta,
Któremi, wiatry w locie prześcigając, szasta.
Zaledwie go Joanna zobaczy śród zgiełku:

„Aleluja, zawoła, witaj, mój osielku“.

On łeb wznosi, chwost kurczy, nogi cztery łamie,
Tak jakby do Diunoa mówił „siadaj na mię!“
Siadł rycerz, osieł bryknął, wypiął skrzydła rącze,
Śmiga i ponad nami w łamańcach się płacze,
A jeździec, galopując, machając żelazem,
Ścisnął cugle i na mnie wpada jednym razem.
O, Najjaśniejszy Panie — gdyś w niebieskim domu
Rozpoczął nieroztropną walkę z panem gromu,
Tak właśnie wpadał na cię, gdy z nieba wypychał,
On, mściciel krzywdy bożej, wódz aniołów Michał.
Zmuszony tedy mego ocalić żywota,
Sposób podaje zwykła czarownikom psota,
Zaraz z siebie własności franciszkańskie zdarłem,
A com był wprzód smagłym, grubym, krótkim karłem,
Postawę inną wdziałem, przerobiłem lica.
Staje się ze mnie młoda, nadobna dziewczica,
Włos powiewny, w złociste roztrzepany zwoje,
grając odniehczenia, zdo bi piersi moje.
Na nich widać z pod wątłej muślinu obciążki,
Świeżo odskakujące na dnie białem krążki.
Przy wdziękach niewinności jaśnieje ponęta,
Twarzyczka zrumieniona, skromniuśkie oczęta,
A w całym składzie prostosc i bezwinność dziecka,
Zawsze równie wabiąca i równie zdradziecka.
Jeden uśmiech miłosny z postawą tak ładną
Skaliste nawet serca rozruszałby snadno
I najtęższego mędrca zamienił w nieuka,
Bo czegóż przy piękności nie dokaże sztuka?

Lecz rycerz mało zważa... już przypada blisko,
Już ogromne nad głową wywija szablisko,
Już podniósł, już wymierzył, już naprzód wyprawił,
Już myśli, że mnie rozciął albo przedziurawił,
Wtem Dziewica spogląda, wzruszy się, zatrzyma.
Jako na łeb meduzi kto zwrócił oczyma,
Musi natychmiast ciało zamienić w szmat głazu,
Tak Diunoa, mnie widząc, zmienia się odrazu.
Pożary uczuł w sercu i lica zapłonął,
Żelazo wprzód groźne z prawicy uronił,
Pomieszany i wyrzec nie śmiejący do mnie,
Spoziera tylko czule, gorąco i skromnie.
Cóż? nie były to pewne triumfu dowody?
Słuchajcie! tu sęk cały, tu koniec przygody.

Mulnik, którego z dziewczką w boryczkach zostawił,
Już był nieźle jej wdzięki karczemne przydławił,
Ale skoro mnie ujrzy tak świeżą, tak składną,
Zaraz go niespodziane pokusy napadną.
Ach, któż myślał, że gbura niewinność przynęci,
Że i to chamskie serce zmienne żywi chęci?
Mulnik to na nią patrzył, to na moje lice,
Wreszcie przyznał mi wyższość i puścił Dziewicę.
Ta, z pod bark żyłowatych skoro wolność zyska,
Leżącego na ziemi dopada mieczyska,
Który Diunoa rzucił, mym wdziękiem ujęty.
O wdzięku nieszczęśliwy, o gburze przekłęty,
Zaledwie zdobycz twoją upuściłeś gnuśnie,
Joanna leci na mnie, z tyłu w szyję chluśnie,

Zwalam się, rozplątany, — odtąd ani słuchu
I o Hermafrodycie i o kłapouchu,
O rycerzu, Joannie i owym draǳalu.
O, bogdajbyście stokroć siedzieli na palu,
Bogdaj was skarcił Pan Bóg, jak nas biednych karci,
Bogdaj was kiedyś tędyś wzięli wszyscy czarci!“
Takie mnich z wielkim gniewem opowiadał dzieje,
A wszystko się djabelstwo dorozpuku śmieje.

*

PARODJA ODY PSEUDO-KLASYCZNEJ



KANTORBERY TYMOWSKI (1790—1854)

Oda do brzucha

Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,

Brzmią moje strony.

Skroń się odchmurza Olimpskiego pana,
Gdy piękna Hebe ugiąwszy kolana,
Boską prawicą leje ci nektary

Z Wulkana czary.

W obliczu twojem równymi są ludzie,
Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,

Ciebie się lęka.

Na twe rozkazy uniża się pycha;
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha:
Nieraz on wspomni nawet przy ołtarzu

O refektarzu.

Ojczy przemysłu, ojczy twórczej pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy

Robić się uczy.

Napróżno miłość, gdy żołądek pusty
Koralowemi odzywa się usta;
Kupido zimny i Cypryda niema
Skoro jeść nie ma.

Kiedy poecie żołądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapal, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Niechże o tobie w boju Mars zapomni,
Rzucą orężę rycerze niezłomni,
Złotu i twardej niedostępny stali
Mur się obali.

Dyanna srebrne już rozprzęga konie,
Puszcza dzień w nocnej ukryty zasłonie,
Twój rozkaz płoszy sen z leniwych powiek,
Budzi się człowiek.

Huczają siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wije się w kłęby,
I przemysłnego geniusz kucharza
Potrawy stwarza.

Ciągłem o tobie staraniem zdjęty
Poci się rolnik, pracuje z bydłą,
Tobie wybite silnym cepem ziarna
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią,
Warczy kołowrot, sprzeczne śruby piszczą
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,
Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.

Tobie w haraczu od kolebki świata,
Gdzie Indus płynie, Nil żyzny i Plata,
Pławią ogromne przez ocean nawy
Drogie przyprawy.

Tobie puncz tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pellejowe gody,
Pieni kakao i leje karmelki
Lessel¹⁾ nasz wielki.

Czy Rozengarta²⁾ smakuję pierogi,
Których zazdrościć nam mogą i bogi,
Czyli pienne rozlewam szampany,
Tyś wspomniany.

Tyś kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,
A żarłok Tybru na złotym obrusie
Niósł mózdzki strusie.

Gdy kartę dziejów odwrócę zbutwiałą
Widzę Lukullów służących ci z chwałą,
Dziś ku czci większej przyjaźń chowa ścisłą
Sekwana z Wisłą.

¹⁾ Lessel — cukiernik warszawski z początków XIX-go wieku.

²⁾ Restaurator z tych samych czasów.

Miejski pasibrzuch teraz już nie schudnie,
Nie ranek tylko, wieczór i południe,
Wzywa go usty restauratora

Każda dnia pora.

Schnie gach z miłości błagając nieczułą,
Mędrzec nad księgą, skąpiec nad szkatułą,
Kiedy dwaj głupcy westfalską kielbasą

Śmiejąc się pasą.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski;
Gdyś syt, swoboda i wesołość pusta

Otwiera usta.

Powszechne prawo twoje i potęga
Od Nowej Zemli do Nigrytów sięga,
Dziki i światłe narody na globie

Podległe tobie.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszą jest gęby,
Miło jej czyli parzy się, czy dmucha,

Byle dla brzucha.

*

PARODJA POEMATU KLASYCZNEGO



FERDYNAND CHOTOMSKI (1797 – 1880)

Eneida Trawestowana. (Fragment)

.
Naraz umilkli wszyscy, rozdziawili gęby,
A Enej z góry altem rzekł do nich przez zęby:
„Infantko! chociaż może na śmierć się zapłaczę,
Jak mi każesz, jak zagrasz, tak ja ci zaskaczę.
I powiem, jak przez smutny i srogi certamen,
Greki nieszczonej Troi uczynili amen.
Widząc, że źle bój idzie, co nas w końcu czeka,
Byłem tam i na wszystko patrzałem zdaleka.
Mirmidony, Dolopy, Ulissa żołnierze,
I wam choć twardej duszy na szlochy się zbierze.
Już też i noc wilgotna przeredzała cienie,
Gwiazdy jak po kąpieli marzyły uśpienie,
(Tylko proszę nie uciąć drzemki za ich śladem,
Gdy ja z katedry Troi zajmę się wykładem).
Okropne to wspomnienie, bo aż serce kraje!
Zaczne! Ale nim zaczne, jak ongi Danaje
Skroili nam porządnie kapoty na fraczki
Za pozwoleniem pani zażyję tabaczki.
Albanka myśl ożywia i koncepta tworzy,

Jak nieraz doświadczałem i twierdzą doktorzy.
Ale wróćmy do rzeczy! Widząc grek uparty,
Że wziąć Ilion nie fraszka ani żadne żarty,
Za djabelską poradą Jowiszowej córy
Wystawili z jedliny szkapę na kształt góry.
Aby im się udały lepiej te psie figle,
I my ni stąd ni z owąd oberwali prygle,
Za *votum* go udają i hajda na morze,
Zuchów tęgich zamknąwszy w próżnym jej
wątórze.

Dalibóg, że ze strachu na łbie włos się jeży,
Pomnąc co tam jak śledzi leżało rycerzy.
Średnio biorąc proporcję, ani mniej ni więcej,
Było ich tam w kolumnie trzydzieści tysięcy.
Naprzeciw miasta Troi, Tened wyspa była:
Za Pryama w niej dusiów kursowało siła,
Teraz gorzko przebeczy, kto do niej zapłynie,
Tam się Greci nad morzem ukryli w wiklinie.
My głupcy, jakby oczy nakryła nam mraka,
Myśląc, że już do *Micen* urznęli drapaka,
Podpiwszy na ochotkę, po długiej żałobie,
Jakbyśmy z błota wyszli dalej w płasy sobie.
Gdy w austeryi w przestrzał roztwarliśmy wrota
Do pustego obozu wali się hołota,
Po nadbrzeżach, po piasku, przez Skamandru
błonie
Ciągnął z gębą otwartą gawron po gawronie,
A stąpając jak indyk poważnie z partesa,
Ten pokazywał barak, gdzie był Achileśa,

Drugi linje Dolopów, ów gdzie stała flota,
Kędy darła się za łby jazda i piechota.
Inni zdziwieni w górę wyciągają szyję,
Patrząc na dar Minerwy, ogromną bestyję.
Naraz Tymotesowi przyszedł koncept z pierza,
Wkwaterować na zamek jodłowego zwierza,
Przez ślepotę, czy karę bogów oczywistą!
Kapis, który był w Troi najlepszym jurystą
I uniwersytetu starszyzna dardańska
Radzili szkapę splawić poprostu do Gdańska.
Ale lud, jak lud zawsze, wszystkich wieków,
czasów,
Raz chciał ruszać do lasa, drugi raz do Sasów.
Pan kasztelan Laokon w starszyzny orszaku
Pędził jak strzelił z zamku, gdyby na ślimaku,
Wrzeszcząc wciąż w gardło do nich: „Hej!
mości panowie!
„Cóż to?, czy piątej klepki zabrakło wam w głowie,
„Myślicie, że Grek cofnął już swoje żołdactwo?
„Na niebo was zaklinam, to jakieś matactwo,
„Ej, czy to nie Ulisses dołki na was kopie?
„Bracia w tej bestji brzuchu chłop leży przy
chłopie,
„Przegląda co jest w mieście, na zdobycz się czai,
„Znam lisy farbowane, oj, znam ja Achail
„Psikus to będzie nowy, Grek was w sidła zwabi,
„A dary niby niosąc porządnie oszwabił”
To rzekł i wraz czękanem, jak w brzuch
szkapę złoi,

Jęknęła. że aż słychać jej jęk było w Troi.
I drgnęła jakby zmora zaszła o tej porze,
A echo długo słychać było w jej wątorzel
I gdyby nie wyroki niecofnione nieba,
Oj, dalibyśmy byli tej bestyi chleba,
A Grekom za ich zdradę, piekielne wykręty,
Nagrzalibyśmy umu, oj nagrzali w pięty.
Ach ty Trojot wysoki zamku Pryamowy,
Ani by ci był nie spadł jeden włoszek z głowy!
Wtem kozacy, co paśli blisko Troi konie,
Wiedli parobka prosto do króla przez błonie,
(A tak skrępowanego jak gdyby barana),
I „nie ujdiesz — wołali — hadyno pohana”.
Sam dał im się ułowić, jak ptak w samotrzasku,
Aby biedne Ilium osadził na piasku,
Knując zdrady, gdy widział, że śmierci nie sprosta.
„Albo będę kapucyn, rzekł, albo starosta,
„Albo pan całą gębą, lub męczennik jaki”.
Dla widzenia go zewsząd zbierają się żaki,
Obstępują go wkoło, drwią z niego i szydzą;
.....



PARODJA BALLADY ROMANTYCZNEJ



JULJUSZ SŁOWACKI i A. E. ODYNYEC

Niewiadomo co czyli Romantyczność.

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą.

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego:

„Czy ty widzisz psa czarnego?”

Czy to pies?

Czy to bies?”

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział,

Czy to pies?

Czy to bies?

Lecz obadwaj tak się zlekli,

Że zeszli w rów i przyklękli.

Czy to pies?

Czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży,

A pies bieży, a pies bieży.

Czy to pies?

Czy to bies?

Bieży, bieży, — już ich mija,

Podniósł ogon i wywija,

Czy to pies?

Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,

Oni wstali i patrzali,

Czy to pies?

Czy to bies?

Wtem, o dziwy! w oddaleniu,

Na zakręcie zniknął w cieniu.

Czy to pies?

Czy to bies?

Długo stali i myśleli,

Lecz się nic nie dowiedzieli,

Czy to pies?

Czy to bies?



PARODJA STYLU XVI WIEKU



BOY

O tem co w Polsce dziełopis mieć winien.

(Dowiedzieliśmy się z komunikatu krakowskiej Akademji Umiejętności, iż ta, ku wielkiemu swemu żalowi, nie mogła przyznać nagrody imienia Barczewskiego za rok bieżący prof. Askenazemu, a to dla jego brzydkiego wyznania, przeciw któremu zastrzegają się wyraźnie statuta fundacji Nie wszystkim znane jest jednak wiekopomne a skrzydlate słowo prof. Askenazego zrodzone w następstwie tego wyroku. Mianowicie, skrzywdzony autor „Łukasińskiego“, w chwili pierwszego rozgoroczenia, miał się wyrazić do jednego z najpoważniejszych członków instytucji, prof. Morawskiego, że, wobec tego, Akademia powinna oglądać nie książki kandydatów, ale... zupełnie, ale to zupełnie co innego... Jędrne to oświadczenie uczonego historyka natchnęło nas do zamknięcia niniejszego zdarzenia w ramy znanej fraszki naszego znakomitego protoplasty, Jana z Czarnolasu.)

Sądziła Akademia dorocznym zwyczajem,
Kto się w pierze nalepiey odznaczył przed kraiem.
O praemium się zabiegał, przez boskiewy obrazy,
Tomkowic z Sodalicyey, y pan Aszkenazy.
W długie się Akademia spory nie wdawała,
Ieno im obu z sobą do łaźniew kazała;
Iako że tam rozsądzać będzie komisyya,
Kto ma lepsze kondycie y nagroda czyia.

Mężę co nayuczeńsze zasiadły u stoła,
A ci dway, z szat rozdziani (iako rzecz?) do goła.
Pogląda Akademia kędy trza, a ono,
Barzo nierówno obie skryby podzielono.
Tomkowic stawa śmieje, bo ma rzecz w porządku:
Zasię tamten żydowin skrył się w ciemnym kątku.
„Wżdy, — rzeknie prezes — sądząc pomysleniem
zdrowem,
Iakoż mu dawać praemium z defektem takowem?”
Zaczem wszystkie iurory dały głos iednaki,
Że on dzieiopis cale ma poważne braki.
Pokraśniał aż Tomkowic, chlubnie odznaczony,
Zmówił krótki paciorek y wdział kalesony.
Aszkenazy zmarkotniał: łza mu w oku błyszczce:
Darmo: co raz człek stracił, tego nie odzyszcze.
Nie mył się biedny długo y iachał tem chutniey:
Nie każdy w Polszcze weźmie po Bekwarku lutniey.

*

PARODJA POWIEŚCI H. SIENKIEWICZA



BOY

Dziwna przygoda Rodziny Połanieckich.

Noc karnawałowa w zacnym polskim domu. Z przyległego salonu dochodzą dźwięki walca, głos wodzireja ryczący egzotyczne nazwy figur kotyljonowych, szelest sukien falujących w tańcu, itd. Siedziałem, w pół drzemiąc, w wygodnym fotelu; w tem coś mignęło, zaszumiało tuż koło mnie i jakaś zapóźniona para przemknęła jak wichur, wywracając w pędzie, o zgrozo, butelkę doskonałego starego koniaku, którą zachowałem do swego prywatnego użytku. Szanowny napój począł spływać powoli, oblewając strumieniem wspaniałą *Prachtausgabe*, leżącą, jak przystało, majestatycznie na stole polskiego domu. Spojrzałem: była to *Rodzina Połanieckich*. Patrzałem z melancholją na grube welinowe karty, ociekające złotawym płynem, gdy nagle zdało mi się, iż słyszę najwyraźniej jakieś szmery, jakgdyby głosów wychodzących z kartek książki:

-
- Panie Stachul
 - Co, panno Maryniu?

— Coś panu chciałam powiedzieć... W jednej chwili tak mi się strasznie w głowie zakręciło...

— Dziwna rzecz, bo mnie także... To pewno z gorąca.

— Panie Stachu...

— Co, panno Maryniu...

— Kiedy się wstydzę...

— Nie wierzę, żeby panna Marynia mogła coś takiego pomyśleć, czegoby się musiała wstydzić...

— Pan Stach taki dobry, że tak o mnie myśli... ale ja nie jestem taka... tak gdzieś głęboko, głęboko, to ja jestem bardzo zepsuta...

— Moja dziecina droga...

— Panie Stachu... ja chciałabym za męża iść...

— Pójdzie pani, panno Maryniu...

— Ale ja chcę zaraz...

— Moja złota panno Maryniu, i ja także chciałbym, tak chciałbym, żeby pani znów wróciła ze mną do swego ukochanego Krzemienia...

— E, głupstwo Krzemień... nudna dziura... to nie dla tego... Aj, strach, jak mi się w głowie kręci... Panie Stachu —

— Co, panno Maryniu?

—

— ?

— A bo czemu mnie pan Stach nigdy nie przytuli, nie popieści...

— Moja droga panno Maryniu... moja, bardzo moja... moja głowa najdroższa...

— Ale nie tak, panie Stachu, tak mocno, mocno, nie tak jak porządną kobietę, tak inaczej jakoś... ja sama nie wiem jak...

— Nie można, panno Maryniu... służba boża...

— A, prawda... służba boża...

.
.

— Och, och, och, och... (*szlochanie*).

— Maryniu, dziecko, co ci jest, dzie-dziecinko moja. (Jakoś mi się starym język płacze, I w głowie mi się czegoś nagle kręci. Pewnie będzie burza).

— Och, och, och, panie profesorze, panie Wasowski, ja jestem taka nieszczęśliwa (*szlochanie*).

— Cóż to pannie Maryni jest? Niechże się przytuli do swego starego profesora. O tak, jeszcze bliżej...

— Och, och, och, panie profesorze, pan Stach mnie nie kocha...

— Co też Marynia za głupstwa pleciesz? Stach Maryni nie kocha? On, najmłodszy z Aryów?!

— A nie kocha...

— Co w tej głowinie dzisiaj... Ktoby nie kochał mojej dzieciny złotej?

— A pan Stach nie kocha (och, och, och). Zresztą, za co by mnie kochał...

— Ii! grzech takie rzeczy mówić! Za co? Oj ty, ty, ty. Za co? A za te oczka śliczne, a za te pysio różowe, a za ten karczek... a za te piersiątko... za te bioderka.., za te nóżki małe... a za te łydecz-

ki... ti, ti, ti... ty Aryjko mała, ty szelmutko jedna...
a jak się to stroi, jakie to koronki, jakie hafciki...
jakie majteczki... Ty, ty, ty, kokotko mała...

— Panie profesorze, co pan robi... zobaczy
kto... tak mi się strasznie w głowie kręci..

— Będzie burza...

.
.

— Panie Stachul

— Co, Lituś?

— Tak mi jakoś dziwnie w główce...

— Chodź kociaku na kolana...

— A będzie pan Stach pieścił kociaka?..

— Będę, Lituś.

— Tak dobrze u pana Stacha! Tak przyjemnie!
To podwiązka. Panie Stachu, co pan robi,.. Nie
można... nie można... panie Stachu... Panie Stachul
a jak ja powiem cioci Maryni, to co będzie?... Ha,
ha, ha!... jaką pan Stach ma teraz niemądrą minę!
A nieprawda, bo nic nie powiem, bo pana Stacha
kocham i panu Stachowi wszystko wolno... I mnie
tyż wszystko wolno, bo ja młodo umrę. Tak mi się
w głowie kręci jak wtedy na imieninach, jak piłam
szampan... Panie Stachu, tak dziwnie... tak przyjem-
nie... pan taki strasznie kochany... co pan robi... Pa-
nie Stachuuuu...

.
.

— Bukacki! słuchajno, co to jest?... co się tu dzieje? czy mnie się kręci w głowie, czy co, ale tu tak jakoś dziwnie...

— Nie przeszkadzaj im, Pławisiu, chodź na miasto... Pojedziemy... wiesz, staruszk... tam...

— Nie, nogi mi się czegoś płaczą...

— No to zagrajmy w pikietę.

— Ale z rubikonem.

— Z rubikonem, staruszk, z rubikonem.

.
.

Szepty i szmery ucichły. Widocznie Rodzina Połanieckich, podeschnąwszy trochę, odzyskała równowagę duchową, zachwianą na chwilę zetknięciem się z kilkoma kroplami starego koniaku. Podniosłem się z fotela i uczułem, że mnie samemu nogi się cokolwiek płaczą...



PARODJA „NOWELKI MORSKIEJ“



MAGDALENA SAMOZWANIEC I Dr. ANTONI BĄCZEK

Z dziennika okrętowego kapitana.

Środa. *Archipelag małego Havasa, 6 m. l.* Ja, John Morris, kapitan okrętu „Capitan“ w dniu świętego Bartłomieja zaczynam pisać te notatki, które może Bogu polecam, a może nie (jeszcze się zastanowię), aby umieścić je w tej butelce, którą przed chwilą wypróżniłem. Takie wypróżnienie zresztą — to dla mnie nie pierwszozna. Jestem z zawodu chłopcem okrętowym, a jednak, dzięki Bogu, los wynagrodził mi ten zawód. Uciekłem z domu z Hull, mając lat 37 i od tego czasu nie widziałem Tomasa, który się podobno ożenił i ma rzeźnię w Wyoming. Tomasz mi kiedyś powiedział: „Ej głupi John Morris“. Nie wziąłem tego wówczas do siebie; niestety, dzisiaj już wiem, o kim była mowa: miał on na myśli pewnie tego Janka Morris, który tak chorował od dzieciństwa, że nawet podobno umarł przy urodzeniu.

Wtorek. *Na brzegach Gwadelupy.* Ryba latająca siedzi na lewej burcie i przedrzeźnia się, ale mimo to, bacznie obserwuję przez lupę równik południowy. Nie wiem, co to znaczy.

Środa. *Tamże.* A brr... Alem upił.

Wtorek. Opuściłem wczoraj „się“, bo upiłem. Psia krew! Znowu mi się pomyliło.

Środa. *Jawa.* Nie mogę spać. Świnia ten Harrison; zdejmuję już trzydziesty but i rzuca o ścianę.

Wtorek. Szczury opuściły okręt! Nie znaczy to nic dobrego, ale pal je sześć! Zatkamy dziury czem innem. Harrison nawet mówił, czem można zatkać, ale on mówił takie trudne słowo, że nigdy nie mogę spamiętać.

Wtorek. Przez dwa tygodnie obchodziliśmy imieniny Harrisona, ale zdaje się, żeśmy się pomylili, bo H. śmieje się i mówi, że to dopiero jutro. Harrison to wogóle tęga głowa; ma już sześćdziesiątkę, ale mówią, że z niego jeszcze będą ludzie.

Środa. Deszcz sprzyja, ale morze jest takie rozmokłe, że H. mówi, że ono jest zalane. Kabel znowu przyniósł złe wiadomości. Nie wiem, co to będzie, bo Harrison namawia marynarzy, żeby się pozbyć kabla. Ostatnio kabel cały dzień krzyczał „S. O. S.“; wrzuciliśmy go do wody, ale jeszcze nie przestał bełkotać.

Wtorek. Płyniemy bez kabla. Harrison gorączkowo powtarza, że to wielka ulga.

Środa. Zerwał się wiatr. Harrison znów teraz żałuje kabla. Mówi znowu coś takiego trudnego, że niby był Ainem dla kabla, czy jakoś tam.

Wtorek. Dzisiaj rano, jak wyszedłem na pokład (właściwie to nie było rano, bo zasnąłem do

4 popoł.), H. już był ubrany w pas ratunkowy i krzyczał: — „Ej, dziecil Taniec się zaczynał Już po nas! Toniemy! Damy i kapitan mają pierwszeństwo. Sto gwinei temu, który mnie wysadzi na ląd“. Przy obiedzie H. mówił mi, że jeden marynarz, niejaki Zbączkowski, obiecał mu, że go wysadzi. Musiałem dać Harrisonowi 50 gwinei; resztę mam mu dać jutro, ale nie wiem, jak sobie dam radę bez H.

Środa. Harrison szykuje się już do wyjazdu. Złapał na wędkę dwie gąbki, wymył się, ubrał w moje nowe ubranie. Serce mi się kraje. Propnowałem mu 100 gwinei, żeby został. H. odrazu się zgodził, ale ubrania nie chce oddać. Chce, że bym mu za ubranie dopłacił 50 gwinei.

Niedziela. Podobno przez dziury po szczurach wlało parę rekinów i gonią się po kadłubie „Capitana“. H. mówi, że można je wypompować, ale na to trzeba dużo wódki.

Wtorek. Na horyzoncie widać ziemię. Dobiegają nas okrzyki tubylców: „Ład! ład! Sądzę, że się te czarne djabły nie mylą. Jeśli sami krzyczą, że ład, to widać, że ziemia niedaleko. Harrison jest bardzo zadowolony z naszej wyspy. Mówi, że wartoby tu zostać dłużej, a kto wie, — czy nie na zawsze. Obiecał mi, że zostanę królem murzynów.

Środa. H. mówi, że już jestem królem. Posadził mnie na mrowisku i nie kazał się śpieszyć ze wstawaniem. Dał mi gałązkę do opędzania się od much i spinkę od kołnierzyka, która go jakoby

postarza. Pożyczył też odemnie fajkę; mówi, że zaraz odda.

Czwartek. Harrison nie był przez cały dzień. Wpadł tylko na chwilkę i skarżył się, że mu jest głupio i że nie może zapomnieć o tym kablu, co to go ja podobno wyrzuciłem w morze.

Sobota. H. dzisiaj rano wziął okręt i pojechał po kabel. Ma wrócić we wtorek. Zostawił mi trzy butelki wódki i uprzedził, że to ma mi starczyć do jutra.

Poniedziałek. Szanowni Panowie! Nie miałem od paru dni kieliszka wódki, i okazało się, że padłem ofiarą mistyfikacji. Otrzeźwiałem. Matka moja pielęgnuje mnie troskliwie. Jestem u siebie w Hull. Przywieziono mnie tu z portu przed trzema tygodniami. Okazuje się, że bynajmniej nie byłem królem. Harrison był zwyczajnym szubrawcem i oszustem. Nie siedziałem na żadnym mrowisku, a jednak mrówki mi chodzą po grzbiecie na samo wspomnienie Harrisona. Teraz już wiem, kim był ten głupi Jan Morris: to był właśnie Harrison. A swoją drogą ciekaw jestem, co się z nim dzieje. Dałbym sto gwinei, żeby wiedzieć, czy znalazł ten kabel czy nie.

Piątek. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się upiłem.



PARODJA MODNEGO ROMANSU



MAGDALENA SAMOZWANIEC

Na ustach grzechu. (Fragmenty)

Był to świt przeciągle bolesny, jak śpiew bociana. Siwa mgła osmętница omamrotała swym zjadliwym wyziewem świat w jakąś szarą tucz, w której migotały tu i owdzie kropelki wody, zwane przez cudzoziemców dżdżem.

Stenka jakby przez sen otworzyła powieki, przetarła je alabastrowym kułakiem i spostrzegła, że jest tylko w jednej koszuli. Czempredziej więc zapięła pierzynę jedwabną pod szyją, wstydząc się słońca, które zaglądało do jej okienka, jak czuły małżonek do swej kochanki. Po namyśle, odgarnąwszy garść włosów, którą jej sen, śpioch niepoprawny, narzucił na czoło, wyskoczyła odważnie z łóżeczka i klasnęła ochoczo w obie dłonie. Prawda! toż dzisiaj ma iść pono z fuzją na cyranki. Wszak mówił wczoraj stary Hryhor, borowy, że całemi gronami uwijają się po zboczach sosen i dębów. Zastanowiła się: — bodaj to prawda. Stary Hryhor często nos wściubia do beczułki z miodem i chłepce jak sławny lis z La Fontaine'a, znanego bajczarza. — Biedny

staruszek, trzeba mu to wybaczyć i dopomóc, on taki dobry. I ją, Steńkę, kolebał, gdy była niemowlęciem przy piersi.

Wesoła jak pasikonik, chociaż jakiś utajony smutek leżał jej wyraźnie między brwiami, obuła swe sarnie nóżki w pończoszki fils de Co, półangielskie. Poczem przemiłym ruchem przerzuciła na siebie przez głowę zręcznie haleczkę, i, odziawszy się w matinkę różaną, przy której cudnie odbijała jej cera matowa, w czerwony rzucik, podeszła krokiem kontredansowym do srebrnego umywalnika, nucąc znaną piosenkę: La, la, la, la...

Gdyby ją w tej chwili zobaczył hrabia Zenon, jak umywała z kurzu nocy twarz i dłonie, byłby w okamgnieniu stracił głowę i opuścił coprędzej piękną Irę, z którą na Rivierze zabawiał się we właściwy sobie sposób. Małżeństwo jego z baronówną Świdrypajło zostało z powodu rozděcia serca odłożone na później. Teraz przedewszystkiem potrzeba było Zenonowi, jak to zalecali panowie specjaliści, spokoju i oddawania się naturze, co też czynił chętnie. Steńce nieraz jeszcze stawał w sercu poëtny obraz hrabiego, ale wyrzucała go het! — z mocą, nie chciała być igraszką losu, piłką tenisową, podrzucaną rąkami tego (strasznego) magnata. Oddawała się więc z namiętnością swym ulubionym sportom, grasując na karnym bułanku lub polując na cyranki. Zmizerniała jednak i schudła w okolicy serca, jakby jej kilka lat ubyło. Nieraz, bywało, stara niańka Hor-

pyna smutnie zamachnęła głową, patrząc na nią i mawiając do zaufanych sług: Danaż moja dana! panienka nasza, ta królewna złocista, ona nie ta, co dawniej; czort urzekł to dziewczątko z polskiego dworku. Bywało, tak nie bujała nikiem nimfa wodna po tajniach lasu, niewiadomo kiej poco? kiej za czem? Hej! hej! Danaż moja, dana!... (Kęsim, hej! Kęsim).

I nie myliła się potrochu stara Horpyna: Steńka nie była już tem co dawniej. Po tem wszystkim co przeszła, stała się równie piękną — ale już kobietą.

Nagle ktoś bez ostrzeżenia zapukał trzykrotnie do drzwi. Wrażliwa Steńka przybladła i, ubrawszy fuzję, stanęła przy oknie.

— Proszę! Kto tam? — spytała odważnie.

— Pannuńciu złocista! — odezwał się znany jej głos za drzwi. — Taż to ja, wasz Hryhor serdeczny. A spieszcie się, pannuńciu moja, bo nam ptaki z boru pouciekają. Taż to już wpół do kominal — żartował, patrząc w nisko rozżarzone słońko.

Steńka jak ptaszek pobiegła do drzwi i wpuściła do pokoju Litwina, który będąc już stary i słusznego wzrostu, na poufały ton sobie z panienką pozwał. Steńka pogroziła mu paluszką w stronę nosa.

— Ejże, didku! — mizgała się, wodząc go za nos — nie gniewajta się didu, bo Steńka gotowa się rozpłakać, i co wtedy zrobita?

Staremu, który kochał Steńkę niemal rodzicielskim ogniem namiętności, łzy zabłysły w oczach.

— Pannuńciu! serdeńko!—zawołał.—A niechby mnie już matka Boska szlakiem trafiła, niżbym ja królownie mojej miał krzywdę zrobić nijaką. — Ale pannuńciu — rzekł, przechylając się dyskretnie do uszka Steni — tylko to tajemnica — groził. — Ponoć tam za Satanhorą, lochy powiły, a dzicy byli, ale wyszli. Możnaby jakiego prosiaczka upolować... — mrugnął do Steńki znacząco.

Steńka zarumieniła się lekko.

— Hrehorkul bosko, cudowniel — wołała, rzucając mu się na łeb, na szyję.

— Wiecie didku, że ja nigdy jeszcze nie polowałam na grubego zwierza—tłumaczyła się staremu.

— Nul ja już wierzę—bronił się poczciwy Hryhor. — Inc te cyranki gotowe na nas nie czekać — wmawiał ucieszonej.

Zabrawszy potrzebne zapasy i naboje, ruszyli wraz w knieję, która jak pierścień z czarnego onyksu, według wyrażenia Hrehora, okrążała daliznę pola. Jeszcze tylko zdaleka dobiegła do dworu ruska dumka, którą Stenia smętnie nuciła w przestrzeń:

— Przy zagaju, przy ruczaju

Jechał kozak na buhaju.

Oj buhaju, ty nieboże,

Szczo ty znaju Zaporozie?

— Oj, nie znajul ja nie znajul

A ty maty wodki daju —

hu, hal

— — — — —

Gdy na bujnym, czarnem niebie zamigotał księżyc złowrogo, zaświeciwszy swoją ogromną żarówkę, zaś zebrana publiczność na placu św. Marka wsączyła się po kropli pod arkady boskiego Florjana, patrona ciastek i kassaty, którą niektórzy ciągną przez maleńkie bambusowe trzcinki w kształcie słomek — na historycznym Moście Westchnień zabłysły dwa światłocienie, męski i żeński, czarne oba, choć jeden gęściej.

— Jestem — odburknął się pierwszy.

— To Sam! — podchwycił drugi i... błysnął otworami maski, poczem, nie zważając już na pozory, zawiesił się na szyi towarzysza, jak się wiesz dojrzała gruszka na młodej wierzbie... A róże purpurowe w jej włosach roztoczyły woń upojną.

— Czy kochasz mnie, piękny puharze oszałamiań? — zadźwięczało pytanie z ust pierwszego.

— Ty... lub śmierć! Jak mi życie miłe — szepnęła hrabina, bo ona to była, przebrana w płaszcz z kapiszonem.

Szept:... — Skorpionie ty! O mój, dziki! — moja ciemnoto! Samiel samcze mój upojny!.. bezwarunkowy bruneciel Mów mi o sobie, o silne bydlę hebanowe, ty...

Więc począł mówić...

— Kto jestem, hrabini? — jam jest... ach! ludożerca!.. o! nie bój się panil.. Tylko ust mi twoich potrzeba, o ostatnia i jedyna...

— Oto masz, oto są! — szepnęła. — Ach! dziw-

nym dreszczem mnie przejmujesz, ty czarna mszo Bafometal

— Pozwóll.. — szepnął i napoczął jej lewy policzek, aż syknęła... — O! Bwana-Kubwa! Kocham cię!

— Lecz bądźmy lepiej przyjaciółmi — rzekła po chwili Ira, której serce się zjeżyło gehennym strachem. Dziwny lęk obosieczny przeszył jej piersi. — Ludożercal... zadzwoniło jej w głowie.

— Słuchaj Sammy — szepnęła mu w usta — mnie tak potrzeba dobrego czarnego serca, któreby dla mnie tylko biło. Uczynię cię podstolim swoim, nigdy głodny z pod stołu nie wyjdiesz, będziesz moim ukochanym tresowanym psem, postrachem moich dzieci! Czycielem szatana! Czem chcesz! Tylko puść! — Ach! puść mnie z zębów!

Lecz on z szału ogłuchł jak niemy i tylko szeptał:

— Tak będzie lepiej nam obojgu, pożrę cię, pochłonę! Będzie ci dobrze u mnie. A imię nas dwójga... Maramba! Tylko nie przeszkadzaj, cudna Desdemono...

Ściągnął jej z rąk i szyi drogocenne bransolety, odrzucając je precz do swoich kieszeni. Uchwycił ją karkołomnie i rzucił o ziemię, choć próbowała bronić się sztyletem, który wyciągnęła mu z za pasa a który wyrabiany był z psiakości.

— Odejdź—wołała rozpaczliwie magnatka, podając mu się prawie resztką przytomności. — Jak śmiesz wykorzystywać chwilę mej słabości, ty przeklęty synu nocy! Ach! odejdź, pókim cała!

Lecz Murzyn wypiął na nią czarne oko i wyciągnął przednie łapy. W potwornych zębach jęły trzaskać jej zdobne obojczyki, jej żebra rzeźbione wytwornie, jak sprzęty ze stalaktytów.

— Ach!—szepnęła... — puść już! Schowaj trochę na jutro...

...Rzęzenie... gruchanie kości łamanych. Styks — pożądanie!.. zmaczenie się dwóch potęg. Wcielenie atomów obcego bytu w otchłań własnego ja—pożeranie miłości przez głód, przez syt—sytu przez ciszę.— A imię nas dwojga — Maramball!

Z mostu płynęły westchnienia. Kojące fale... Słodkie wody kanału... Cisza... Tylko ktoś... jakaś czarna praforma zdążyła szybko przez ciasne uliczki, dudniąc piętami Achillesa i trzymając w rękę po-dejrzanej zawartości zawiniątko oraz czyjeś jeszcze gorejące serce, które widocznie morderca zatrzymał sobie na pamiątkę, z wahającym się nad niem płomyczkiem życia...

I tylko wielka plama na Moście Westchnień świadczyła, że była tam przed godziną piękna Ira... ostatnia hrabina Wampyr.



PARODJA POWIEŚCI HISTORYCZNEJ



MAGDALENA SAMOZWANIEC

Z pamiętnika młodego literata. (Fragment)

— Nuże Jasiekl rusz-że się, gamoniul czegóż stoisz, jak ten lelek kozodój i po powale ślipiami przebierasz, ruszaj-że do bokówki i jejmościance powiedz, niechaj się grzecznie przebierze, bo gościa mamy nielada. Rzekłszy to, imć kasztelan Krakowicki klejnotu „rogi“ poklepał swego gościa po plecach, aż cosik jękło w starościcu Chrobowskim, panu szerokich włości i jedynaku.

— Ejżel — rzekł nagle, zmieniając układny sposób mówienia, a brwi jego sumiaste ściągnęły mu się nad czołem. — Ejżel starościcu, kasztelańskiej dziewczki wam się zachciewa, a wiesz li ty, panie Zbigniewie, że do alkowy kasztelanki Krakowickiej droga przez ołtarz prowadzi? — Ej, jakem ojciec tak bym w turmie zamknąć kazał dzierlatkę, gdybym u niej w łożu gacha znalazł, hejl — Prawdziwemu nobile tak się postępować nie godzi, a pijze waszmość, bo mi widno, że ci coś gorzki mój trunek. — Dziewka od nijakiego czasu, odkąd waszmościa poznała, nie je, nie pije, a tylko wciąż gryzie się.

— *Errare humanum est!* — odparł spokojnie starościc, insekta złośliwego na głowie zabijając, snadnie boć mu już widać od dłuższej chwili dogryzał, — mylicie się mości kasztelanie, bo jakim Świnka po kądzieli, tak intencje moje zawsze najczystsze wobec panny Pulcherji, dostojnej córki waszej, były...

— Aleś się z nią cackał, tako mi służebne doniosły, despekt zacnemu domowi czyniąc, — odparł kasztelan, już nieco pokornem zachowaniem młodzieńca udobruchany.

— Nie dla cackania, mości kasztelanie, za nią ja chodził, nie, ino z tego miłowania gorącego, a chcecie to jej się do stópek rzucę lub za kolana obłapię i o rączkę nadobną poproszę, a was, wielce miłościwy panie, o ojcowskie błogosławieństwo. Rzekłszy to, na jedno kolano przyklęknął i usta do jego ręki pochylił.

— W imieniu mojej córki, Pulcherji Krakowickiej, dwojga imion, błogosławię cię, drogi starościcu, i tym pocałunkiem, który na mojej dłoni złożyłeś, pasuję cię na zięcia. Jezul — krzyknął nagle. — Jezull i przewróciwszy oczy, a wraz z niemi i puhar w mękę Pańską rzeźbiony misternie, usiadł ciężko na zydlu i tylko gardziel latała mu tam i z powrotem, jak długa. — *Apage satanas! Apage satanas!* — szeptał nabożnie, trzęsąc się cały, powiedz, zaliś ty synem Belzebuba jest, czy moim? — zachwiał się i ciężko runął na zydel z powrotem.

— Widno mi, szlachetny panie, że wam wapory uderzyły snać do głowy, aliści poproszę panny Pulcherji, aby wam leków odpowiednich nawarzyła. Mówią, że ponoć merkurjusz z żabim skrzekiem, pomiotem nietoperza i zajęczą farbą skuteczne na one dolegliwości ma działanie.

— Rękę pokaż, prawicę! — straszliwym szep-tem wybełkotał kasztelan, — sześcioro palców ool! — i rękę starościca porwawszy, pod światło ze stropu płynące podstawił.

Zachłysnął się starościc na on widok niespodziewany i prawie oniemiał. — Gdzie ja oczy miał przez tyle leciech, gdzie, zaiste, zem onego kazusu fatalis nie zoczył. Ba, bo gdybyż on jeszcze ów szósty nieboraczek w nosiech u mnie zamieszkiwał, alem to czynić nie zwyczajny zaiste, nie. Nie frasujcie się jednako o to, mości kasztelanie, a jako chcecie, to, — tu porwał się z kolan i roześmiał młodzieńczo, a siarczyście, — tym oto kordelasem, poturczeńca krwią splamionym, palec on nieszczęsny odetnę i kasztelance w złoto oprawiony, jako upominek rycerski złożę.

— Na Świętego Patrycjusza! — wrzasnął pobladły kasztelan, — spójrz waćpan! ino mi trupem nie padnij, boś nie białogłowa, lecz karmazyn. — Rzekłszy to, wstał, przyciągnął pasa i sześciopalcową prawicę swą położył na ramieniu młodzieńca.

— Ojczel — ryknął starościc i straszliwy szloch

zakołysał całą jego postacią poczem runął kasztelanowi do nóg.

— Cichaj, synku, cichaj, — uspokajał go kasztelan poblądłemi usty, — nie twojać to wina, nie. Posłuchaj, tandem tedy: macierz twoja Anielicha Chrobowska, de domo, Świnka z Komorowa, święta była zaiste niewiasta i cnót pełna, raz jeno ze mną koło Wielgiej Nocy, jeno ze mną synaczku zgrzeszyła, Boże świeć jej duszyczce. A nocka synaczku była wonczas majowa i odorów kwietnych, słowicznych trelów, a łabędzich śpiewów pełna. Matusz twoja z małżeńskiego łoża się wykradłszy, kiecek uniósłszy, przez okienko, jak gałąbek biały, hycnęła prosto w moje ramiona. Co się podczas onej nocki działo, o tem ci się wiedzieć nie godzi, a i nieboszczki miłemi wspominkami w grobie poruszać nie trza.

Tu zaszlochał kasztelan i na swej sześciopalcowej dłoni oparł siwy łeb.

— Tedy, jako, że nihil sine causa, w pół roku dzieciątko, zakwiliło w komorowskiem dworzyszczu, chłopak jak tur, urwis od małego i opój.

— To już widno mi, że to wasze być musiało, ojczel

— Cichaj! starszym przerywać się nie godzi, owóż nikt nie wiedział, czyje to dzieciątko, ani ja sam, ani Kacper, małżonek Janieli, pijak on obrzydły. Potem poszedł ja w potrzebie z królem Jaśkiem Sobieskim ojczyźnie miłej służyć, a Janieli zmarło się

przez on czas niebodze, dwadzieścia wiosen liczyła wondrous sobie, dzisiaj będzie miała z pięćdziesiąt, na cmentarzu w Niegnojowicach spoczywając w Panu.

Nagle ciężkie odrzwia otwarły się bez słowa, a w nich ukazała się cud piękności kasztelanka. Na kark włożyła sobie altembasową jupkę, suto forysiami drogocennemi obszytą; z pod grodenapłowej roby spływały do ziemi nogi, jak kolumny. Na jej licu, po którym widać było, że ordynaryjnej wody używać nie zwykła, jeno mazie, a zamorskie bielidła, malował się jakowys smętek. Na ramionach dźwięczały jej złociste manele, a w uszach ostatnie starościca słowa: „Dę nóg rodzicowi waszemu padnę i o błogosławieństwo błagać będę, boć miłuję was i za podwikę pojąć pragnę“. Cichym krokiem podszła do rodzica i kolana jego pokornie objęła.

— Nie zlijcie się, panie ojcze, jeno pozwolenstwo na nasz związek dajcie, — szepnęła, i rączkę swą w rękę starościca wsunęła.

— Deus Mirabilis! — westchnął kasztelan, ale jakoż ja na ów związek kazirodczy przystać mogę, jakoż — kiedy on bratem twym, a tyś siostrą jego wszak.

Ogromne od ucha do ucha oczy kasztelanki łzami się wypełniły.

— Nijak to być prawdą nie może, — chlipała — nijak! wpierw dowody dajcie — panie ojcze, a potem wiarę dam, i rączkami obiemi zasłoniła liczko spopielałe, jak gizełko, które na sobie nosiła.

— Wiary nie dajesz! — charczącym głosem wykrztusił kasztelan i oczy mu na wierzch głowy wylazły, a na rękę twą spójrz, ino, a takż na starościca prawicę, ha! nie dziwno ci, ejże?

Zapłonila się dziewczyna i oczy spuściła.

— Takie one prawie, jako i wszystkie, jako i wasze, panie ojcz, nie widno, nijakiej różnicy nie masz — cichutko odparła.

— Etl dziewczka nigdy do trzech zliczyć nie umiała, a miałaby do sześciu kalkulację wyczynić? jęknął kasztelan, poczem opuścił głowę na piersi i resztką sił wyzionął ducha.



PARODJE AUTORÓW WSPÓŁCZESNYCH



JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

NIEZNA E RĘKOPISY PISARZY POLSKICH.

I. Juljusz Kaden Bandrowski.

A jej głos począł klaskaniem niesamowitem napełniać pokój aż po pułap, skąd zwisały przyjapowate ozdoby świecznika, aż po szyby, które dzwoniły głośno jak pijane szklanki...

— Naród — walił Budzia — naródl my zawsze z narodem... niby tak... razem...

Szamotnęła się gwałtownie i zadarłszy nogi ukazała niebieskawe kleksy wągrów nad kolanem.

Budzia kwiczał donośnie, pociągając nozdrzami:

— Że to ona... że też tak... posobnie... sama...

I wciągał zdartą ramię nosa zapach jej potu.

Poduszki z kanapy potoczyły się na dywan.

A ona babrząc nogami w ustępliwem cieście jedwabnych materaców puklami loków zmiatała nastroszoną szczecinę dywanu...

— A to stypał — charczał Budzia, podbierając się do skoku. Wypuczył gały oczu ni to ślimak i mówił sobie w środku: nic to... nic to... nie dziś to jutro...

— Że to ona... że też tak... posobnie... sama...

I targnąwszy ją za bluzkę rozdarł pajęczy jedwab.

II. *Marja Jehanne Wielopolska: Renesansowe dogressy.*

Prababce mojej Henrjecie Piramida-Cybulskiej
z Kurzych Stopek na pamiątkę naszego wspólnego
pochodzenia poświęcam.

...nasycone purpurą ręce składając, niby na porcelanowych ołtarzach barokowe madonny, wkrąg przypominający japońskie farfury, Dolores i Agnes weszły do pozłocistej komnaty, podobnej do tej, w której koronowano ongi królów Francji i gdzie Joanna Święta (moja patronka) rozmawiała tajemnie z biskupem z Fiorawenny, tym, który usynowił przodka mego, jaki się wybrał z uprzejmą wizytą do kwieciem płonącej Italji.

Leopardy i pardwy w kutyh ze złota klatkach chciwym okiem powłóczyły za ogonami ich sukien, tkanemi ze srebra przez takich artystów, jak Gentile Fabriano albo Birra Nera. Zwierzęta nawet kochały się w ich wiotkiem ciele, jak moje konie, które ilekroć wejda do stajni, wodzą za mną miłosnem okiem — i to wszystkie sześnaście cugowych, bo do fornalskiej stajni Pańcio czasami tylko zagłada.

Dolores rozplatała, to znów splatała miękkie i złote grzywy włosów, rozwijając je z wonnych obroży piżmowych bursztynów, jakie podobno za króla Zygmunta wyrabiała w Krakowie Barbara Parcianka, ale Agnes przytrzymała ją za ręce i rzekła głosem, podobnym do śpiewu św. Cecylji, pod której wezwaniem pisała moja ciotka Colonna-Walewska, choć w gardle złamał się jej ten dźwięk:

— Mów.

Ale Dolores zajęta była myciem swej piersi w miksturze z sześciu uncji oślej uryny i tłuczonych szmaragdów, co jej przynosiło szczęście.

Napisałam w dzień świętego Wita w 1235 roku Hedzry, od urodzenia mego 45-tym, w domu zbudowanym przez moich przodków w Snobiszkach Wielkich.

III. Tadeusz Miciński: Wiedźma i Templarjusz.

Ołyta siedziała w izbie — i grała na grzebieniu symfonię Szymanowskiego. Mrok połyskiwał bezmiarrem fioletów i złocenia. — Wieczór odbijał się echem w mosiężnem naczyniu, wielkiem jak komnata — gdzie zabiegliwa gospodyni hodowała gruszki miłosne, groch i kalafiory. — Po bliższem zbadaniu okazało się, że mechanizm, zbudowany przemyślnie w strzesze ukraińskiej chaty, rękami domorosłych inżynierów — specjalnym systemem rezonatorów odpowiadał na muzykę grzebienia, tworząc tajemnicze harmonje.

Ołyta w ciemnościach chaty rzuciła się do stóp Templarjusza, skoro ten nacisnąwszy znak róży i krzyża, wszedł uchyliwszy głowy. — Przed zczerniałą ikoną Perejasławskiej Matki paliły się trzy lampy czerwone, trzy szafirowe i dwie białe w niebieskie paski (zapaliła je wiedźma-Ołyta, zgodnie z przykazaniem Zend Awesty).

— Umieram z tęsknoty za wielką sztuką — szlochała Ołyta na kolanach — muszę być w Rzymie — który znam z cudnych drzeworytów Pirandella — muszę widzieć wazy bogów i rzeźby etruskie — muszę ognie czarnoksiężskie wcielić w tęczowe drzewa, skały, obłoki i cienie. — Mam świat wizyj. — Muszę zmienić królestwo Bachusa na świat wolnej idei.

— Kochanko Heljosa, przybita do krzyża — templarjusz podkomorzy usiadł przy oliwkowym stole — podaj mi małosyjski barszcz, przyprawiony tak jak na dworze Zygmunta Starego podawał pewien kucharz włoski.

Ołyta rzuciła się do pieca i odsunawszy zasuwę, wykuta z jednego kawałka malachitu, wyciągnęła zakopcony garnek wrzącej wody (jak wiadomo woda dochodziła do temperatury wrzenia przy 100% Celsjusza). Podkomorzy odrzucił swój płaszcz z wyhaftowanym nań sybirskim szlakiem i cierniową koroną. Ujrzał swe zaciśnięte usta, swe oczy zielone, swą twarz tatarską — wynurzała się z zakopconego garnka wiedźmy.

Wówczas sobowtór ten ubrany w cejlońską czapeczkę, podobną do tej, którą wszeteczna Katarzyna wkładała w rocznicę pierwszego rozbioru Polski, otworzył usta i zaśpiewał perską pieśń mądrości:

Ptaki staną się ludźmi w nowym awatarze

Jak ty — jak ja — jak wszyscy — zielone mamy twarze.

Templarjusz pogrążył się w czarną noc nicości.

IV. *Stanisław Witkiewicz: Radość Kwicyducha czyli Metafizyka na podwórku. Dramat w 3-ach aktach i jednej odsłonie.*

Kwicyduch Smolińkiewicz (duży niecierpliwy blondyn ze śladami wielkiego powodzenia u kobiet wchodzi nonszalancko i obejmuje Hipolitę). Czy pani wiesz, że przychodzę z tropików? Nie jest niemożliwe, że mogę stać się pani kochankiem.

Hipolita Orsza (podstarzała bruneta ze śladami wielkiego powodzenia u kobiet). Jeżeli, Dusiu, pragniesz zostać dla mnie czemś więcej, niż byłś p. hrabia Baltazary Orsza, musisz się poświęcić na ołtarzu moich nigdy nieprzebranych chuci.

Kostrojnisia (perwersyjna dziewczynka—lat trzy-nastu). Ależ, Hipolito, skoro pan Kwicyduch Ciebie pożąda, dlaczegoż nie zadośćuczynisz jego słusznemu żądaniu?

Hipolita. Odejdź, bo ci dam w mordę!

Żandarm (wchodzi, salatuje). Melduję panu profesorowi, że Akademia Nauk Metafizycznych powołała go na katedrę glosatora Bertranda Russela (wychodzi).

Hipolita. Mój mąż ś. p. Szambelan Baltazary nie zwracał uwagi na takie głupstwa metafizyczne.

Kostrojnisia (do Hipolity). Patrz, oto nadchodzi nasz kochany Ludwik XVI. Jakże się cieszę z jego widoku.

Ludwik XVI. Wprawdzie mam zginać na szafocie, ale lubię ładne kobietki (obejmuje Hipolitę i całuje ją).

Hipolita. Ludwisiu, jak Ty umiesz całować
Kwicyduch (wrywa palmę z wazonu i uderza
nią Hipolitę).

Hipolita. Umieram niewinna (pada i umiera).

Kostrojnisia (usiłuje otworzyć drzwi). Puście
mnie! Puście!

Ludwik XVI. Moi państwo, te drzwi są zamknięte. Tu wogóle niema wyjścia.

Kwicyduch. Wasza Królewska Mość racz teraz zdechnąć. (Rzuca się nań, *Kostrojnisia* usiłuje ich rozdzielić. Trup *Hipolity* powstaje i bierze udział w bijatyce. „Obszczaja rukopaszna ja schwatka“).

Kurtyna.

V. *Eliza Orzeszkowa.*

Nazajutrz całkiem już o zmroku znowu *Petronelcia* od kowalowej świekry wracała. Szła tym razem rozmarzona, nie myśląc o dziadzkowych kułakach i babczynych ślepowrotach. Co moment przyciskała ręką to coś, co na piersi pod koszulą miała. Mruczając pod nosem powtarza wciąż: niby gdzieś... podzieli się, poszli, niby gdzieś... z strzelbami...

Wtem, u końca ścieżki, przy urwisku, porośniętem liśćmi drobnej maciczki polnej, gdzie niebieskie kieliszki mysich nocniczków pachniały mocno pomiędzy pękami lisich kitek, gdzie nigdzie przetykanych wielkimi gwiazdami żółtych judzkich oczek, pomiędzy gęstemi krzakami ostów, a rosnącą za

płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją czarnem opalonym ręką za kraj zgrzebnej koszuli, wymykającej się z pod czerwonej spódnicy, przytrzymał. Zwinnie przez niski płot przeskoczywszy Petronelka świszczącym głosem powtarzać uporczywie jąła:

— Niby gdzieś... poszli, podzieli się... u kowalichy... niby jakieś...

Środkiem domostwa, które było starem, zgrzybiałym i czapką strzechy przykrytem, z naręczem sapieżanek w wydętym fartuchu stary Ambroży ku niej postępował.

— Przybiegliśmy, zobaczyliśmy — krzyknął do nas — ano oficer, tatku, oficer! — Tu żegnać się świętym krzyżem począł, jak gdyby widmo jakieś czy krwawego upiora spostrzegł.

— Niby gdzieś... poszli, do lasu... do lasu...

VI. I. K. Młakowicz: Obrazy imion.

IGNACY

W każdym stanie ze swoim fachem się rozminie:
Jak urodzi się stróżem — to będzie grał w kinie;
Gdy chemik — to mąż stanu; polityk — gdy pianista,
Gdy wielki pan lub aktor — to z niego dzielny socjalista.
Do ciężkiej często u nas używany pracy:
Maluczki może zwać się jak wielcy — Ignacy.
W każdym fałszywym fachu szczęściem znaczony
[i weną
Lecz biada mu, gdy jarzmem sprzęgnie się z Heleną.

LUCYNA

Imieniem tem znaczone nici kiedy snują Parki,
Piękna jarzmi najeźdzców, a brzydka kucharki.
I chyba w zdaniu mojem wcale nie przesadzę,
Gdy powiem, że obydwie czyhają na władze.
Jeżeli jednej śpiew syreni nami sprawiał rządy,
Inna nad grzesznym literatem srogie odprawuje sądy.
Zawsze jednak ogromne talenta w pięknej głowie
[chowa,
Władcze gdy Kotarbińska, a kulinarne kiedy
[Ćwierciakiewiczowa.

*

ANTONI SŁONIMSKI. PARODJE

I. *Wacław Grubiński.*

Scena przedstawia pokój kąpielowy. Du-du wychodzi z wanny, Hrabia Becio częstuje ją papierosem (bez ustnika).

Du-du. Niech pan się nie patrzy na mnie, bo jestem nie upudrowana.

Hr. Becio. Patrzeć znaczy posiadać, a ja nieposiadam się z radości. Tak. A właściwie... Nie. Radość jest formą posiadania — ale nie każda radość jest posiadaniem.

Du-du. Niech pan siada.

Hr. Becio. Niestety, nie mogę, gdyż jestem stoikiem.

Du-du. (śmieje się zalotnie). Ale pan ma języczek!... Może pan zje zupę i sałatę.

Hr. Becio. Istotnie północ blisko, więc pora na obiad. Na chałwę i śliwki przejdziemy do spiżarni.

Du-du. To, że pan mnie nie posiadał w wannie, dowodzi prawdziwej wytworności.

Hs. Becio. Ach, moja mała *Du-du*... Ludzie wytworni nigdy nie kąpią się wieczorem. Grecy mieli specjalne pyjamy do kąpieli — zwane chitonami. Arystofanes...

Du-du. Powtórz jeszcze to nazwisko. Ślicznie Ci z tem słowem.

Hr. Becio. Służę Ci za chwilę, tylko spuszczę wodę w wannie...

Du-du. Jakiś ty delikatny.

Hr. Becio spuszcza wodę. *Kurtyna.*

II. *Jarosław Iwaszkiewicz.*

... Adamek otworzył z trudem drzwi o zardzewiałych zawiasach i stanął na progu swego dawnego studenckiego pokoiku z czasów kijowskich. (Achl zielone trawy i trawy białe. Gdzie jesteście morelowe sukienki i obłoki wezbrane pianą izotermy?.. Zapomniała już pani pewnie, panno Ciapcio, nasze góralskie przyodziewki i podwieczorki u Wróbla w Warszawie). Uderzony stęchłą wonią zapuszczonej wilgoci stał Adamek długo przy oknie i patrzył na znajome buraczone pole cukrowni. Zapach ten przypominał

mu mały szwajcarski pokoik, do którego prowadziła go najstarsza ciotka w rośny letni poranek. „Muszę napisać do Witolda i posłać mu ten ustęp z pamiętników Marguerite d'Angoulême księżnej d'Alençon, w którym wspomina o pederastji swego brata“.

Splynał zmierzch. Zapach białych warząchwii tytuniu przesączył się przez lufcik. Na małą łączkę, leżącą jak dywanik pod oknem, wbiega trzech mężczyzn w tenisowych strojach. Jarosław, Szpicberg i Leszek — pomyślał Adamek i zasmucił się. Młoda dziewczyna w stroju amazonki wybiegła im naprzeciw. Zbiegli się w jedną ruchliwą plamę.

Adamek zamknął lufcik.

III. Prof. Ferdynand Antoni Ossendowski „Czerwony morderca“.

Po kilku godzinach znajdowaliśmy się już w Centralnej Afryce. Kazałem wtedy rozłożyć obóz i naznosić drzewa, aby się ogrzać przy ognisku. Zwyczaju tego nabrałem jeszcze w Tybecie, gdzie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów panują już dokuczliwe przy-mrozki. Odtąd nie rozstaję się nigdy z mojem ulubionem ogniskiem. Murzyni naznosili rychło gałęzi z drzewa Honga-Tonga, czyli drzewa jajkowatego, przypominającego istotnie w smaku jaja po wiedeńsku. W czasie rozpalania ogniska zdarzył się przykry wypadek. Jeden z Murzynów, wysoki blondyn, o małych, krzywych nogach, zbierając drzewo, wziął przez roz-targnienie do ręki śpiącego węża „pytona” i wrzucił

do ogniska. Pyton bardzo popularny na pobrzeżu afrykańskim pochodzi od słowa „pyta” i nie znosi gorąca. Rozbudzony wąż strasznym sykiem dał poznać swój gniew. Zanim jeszcze zdążyłem go zastrzelić, moi ludzie odarli go ze skóry tak, iż miałem strzał bardzo trudny do zwierzęcia zupełnie nagiego. Pyton został natychmiast zjedzony, poczem zapakowany starannie i odesłany do muzeum poznańskiego. Teżże nocy, biorąc widocznie szmer ogniska za szmer źródła wody leśnej, do obozu zawitały dwie pantery, sześć ryb pełzających, dwie faszzerowane i jeden karp na szaro. Zabiliśmy też, siedząc przy ogniu, mnóstwo robaków, dwie jaszczurki, dwa solitery. Rankiem zerwaliśmy się o świcie, aby nie tracąc czasu, przejść Saharę jeszcze za dnia, dopóki słońko przyświeca.

IV. „Maciej Kugiel et Co.” *Burlogroteska w trzech aktach*
Bruno Winawera.

Akt I. Scena przedstawia salon grubomieszczkański. Na stole stoi waga skręceń czyli tak zwana waga torsyjna systemu Krapotkin i Ciepłuszko. Maciej Kugiel w negliżu leży na kanapie z Rafałową Bas akuszerką. Jedną ręką uwodzi akuszerkę, a drugą ręką przerzuca dzieło p. t. „Physikalisches Wörterbuch”.

Bas (mówi falsetem). Podnieś mi chusteczkę, kochany Macieju...

Kugiel. Widzisz, dziecino moja, był sobie pevien Anglik nazwiskiem Newton, który, widząc spadającą chusteczkę, wymyślił prawo ciężenia, ale żadna kobieta tego zrozumieć nie może...

Bas. Ja prawo ciąży i ciężenia znam dobrze i nie będę się tego od jakichś tam żydowskich newtonów uczyć.

Kugiel. Wiedz o tem, ptaszyno moja, że Newton izraelitą nie był, ale zato ciotka moja Leokadja Copoćko, urodzona w Zgierz, pochodziła z bardzo starożytnej rodziny.

Bas. Ano to niech sobie pochodzi, a ja będę leżała.

Kugiel (wstaje, puszcza w ruch wagę torsyjną, wymiotuje, rozkręca gazomierz i mówi):

Proszę cię, dziecino moja, my asystenci nie jesteśmy od asystowania damom. Kiedym jeszcze w Heidelbergu studjował, pisywałem różne wierszyki, nie gorsze od przyrodnika niemieckiego Goethego. Wydałem nawet tomik w firmie Kobryner i Pszczołycki, ale się recenzenci na tem nie poznali. Teraz cię, ptaszyno, zamierzam prozą opisać i w bibliotece groszowej wydać.

Bas (obrażona odwraca się tyłem).

Kugiel (zaczyna wydzielać promienie ultrafioletowe, gasi światło i mówi w ciemności):

Fizyka jest to nauka o zjawiskach nie zmieniających składu wewnętrznego ciał, wobec czego do ciebie Rafałowo Bas się nie stosuje. Fizyka dzieli się na statykę, akustykę i t. d. (Leokadja Bas zasypia. Na scenie i widowni słycać chrapania. Kurtyna).

*

MARJAN HEMAR:

Kornel Makuszyński:

Fragment z „Historji stworzenia świata”.

Kobieta jest to takie bydlę, które Pan Bóg uczynił po nieprzespanej nocy, na złość biednemu człowiekowi, na przekór sobie samemu i całemu światu. Jeśli bowiem mężczyzna został stworzony na obraz boski, kobieta stworzona została na obrazę boską — gorze, gorzel!

Zanim jeszcze poznał kobietę mężczyzna, już mu bokiem wylazła — i, to jak?! Pożal się Paniel Spojrzał dobry Bóg na swoje dzieło, najpierw na Adama i mruknął pod wąsem: Dobrze jest! Potem rzucił okiem z podełbą na Ewę i przetarł oczy ze zdumieniem.

Ha! Chytra niewiasta, zanim jeszcze obeschła, już zdążyła poprawić dzieło boskich rąk.

Przedewszystkiem ścisnęła się mocno w pasie, po to, iżby ją ramię męskie zdołało objąć od jednego zamachu, i pęty się ścisnęła, aż u góry i u dołu potworzyły się kształty nieforemne i wielce dwuznaczne, następnie tu sobie odjęła, tam dodała, wydłużyła szyję, skróciła stan, zeszyrychowała patykiem ramiona, piersi, zaczesła na przedział i jak gdyby nigdy nic, czekała uśmiechnięta na pochwałę obu mężów.

Stwórca złapał się za głowę, ale co miał począć? Jeszcze jedno żebro wyjąć nieszczęsnemu mężczyźnie? — gorze nam! Adam, jak Adam, cham taki

obrośnięty szczecią, dorwał się pierwszej kobiety — i tak było mu wszystko jedno... Gdyby mu wielki Pan był pokazał podonczas nosorożca, albo pospolitą gęś i powiedział: Adamie, oto jest kobieta! — tak samo byłby język z podziwu wywiesił, z rozkoszy drżał i nogami wierzgał. Złoty, kochany warjat!

O Boże, wielki Boże — czemuś wtedy, póki był jeszcze czas, nie dał mężczyźnie nosorożca, albo li jakiego ichtjozaura, albo pospolitą gęś na współpracowniczkę w dziedzinie doczesnych rozkoszy? Wiedziałby człowiek po dziś dzień, czego się trzymać, a tak co roku na nowo nie wie i coraz trudniej mu się rozeznąć, albowiem to, co przed tysiącem wieków nazywało się szumnie „niewiastą“, wie dzisiaj stokroć więcej od nas i z każdym rokiem samo się zmienia i poprawia i fuszeruje, włosy sobie obcina, maluje usta, piłuje paznokcie, wprawia zęby, usuwa piersi, paskudzi linję, farbuję skórę.

Panie wielki, czemuś wówczas nie ustalił raz na zawsze jednego bydlęcia i nie rzekł: To i nic innego będzie kobieta i taka będzie na wieki wieków amen!

Dziś jest już zapóźno — gorze nam wszystkim!



PARODJA WIERSZA J. IWASZKIEWICZA



JAN LECHOŃ

Symfonia imion.

Zofja, Laweta, Beatrix, Ambona,
Margot, Aida, Carmen, Hagith, Toska,
Roleta, Hilda, Komoda, Ruszkowska,
Blanka, Monika, Dziubuś, Antyfona.

Elna, Szimena, Granda, Krynolina,
Belina, Fusia, Emma, Laba, Starka,
Dolores, Zupa, Francesca, Kucharka,
Madlon, Lawinja, Skamandra, Benigna.

Solange, Rzepicha, Ingeborga, Szmira,
Walerja, Jadźka, Lydja, Hacefira —
Renata, Pinda, Eunice, Flora.

Kalina, Rachel, Anuncjata, Glorja,
Dagmara, Xenia, Lodzia, Wernyhora,
Psychoterapja, Gambetta, Astorja.



WARJACJE NA TEMAT „WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK”



ANTONI SŁONIMSKI i JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

I. Jan Lechoń: „Srebrne i czarne koty”.

Inni niech będą świnię a dla nas ta szansa,
Ze mrugając oczami i mówiąc na migi,
Jak kot przyjaciel pana Anatola France’a,
Tak my w przyjaźni z Francją wejdziemy do Ligi
Nad płotem co nas dzieli jak gwiazdy, co wzejdą,
Wyrośniemy w niebieskie wieczne ciał obroty.
Zmień nas, Panie, polaków i uczyn z nas koty,
Co cicho przez historję zasmucone przejdą.

II. Jarosław Iwaszkiewicz: „Okłostych o kotku”.

Kotek, jak księżyc, wschodzi na płotek po żerdzi
zadarł ogon palmurski, jak syn buchaltera —
I w ucieczce bagdadzkiej, gdy pejzaże zbiera,
siedmio-brwi-nowym butem, co stąpnie, to mruga.
Ładna to jest piosneczka nie krótka, nie długa:
— oj, niema już tej wody... (choć i jest, to niema...)
Zaśpiewam ci o kotku, co na Nobla mruga:
— ostały się nam jesce dus nasych problema...

III. *Ignacy Krasicki: Kot i płotek (bajka).*

Ze mrugał kot wylazłszy na domu sztachety
Dziwili się mężowie, starcy i kobiety.
Wtem wpadł pies, głośno szczechnął. Ani się spodzieli,
Kiedy wszyscy kotkowi nagle odmrugnęli.

IV. *Stanisław Wyspiański: Fragment.*

— — — — —
*Na brzegu morza stoi płot
na płocie czarny siedzi kot
od kota biegnie ślepi blask
apollinowy włożył kask
i mruga — — — —*

KOT

1. Na szczebel dachu jam się wspiął
mruganiem dusze w czary wziął
i Leszy w lecie ludziom gędzie
kto mrugać będzie? kto mrugać będzie?

ERYNJE

ukazały się z za płotu

GROMADA

cofnęła się

PIERWSZY Z GROMADY

cofnął się

*Na kocie apolliniński kask
W mocniejszy coraz rośnie blask*

*Ofiarą rośnie przemienienia:
Kot się powoli w boga zmienia.*

KOT-APOLLO

2. Na me mruganie ja wasz Bóg
Posyłam waszym żyłom dreszcze
Słyszycie mrugający róg?
Czy nie czas jeszcze?

ERYNJE

poruszyły się

GROMADA

cofnęła się

PIERWSZY Z GROMADY

cofnął się

PIERWSZY Z GROMADY

3. Coś okiem swoim wziął na cel
Powiadaj blasków witeziowi.
Bo jeśli boski widzisz cel
To my odmrugnąć gotowi — — —

GROMADA

cofa się

Gotowił — — —

— — — — —

V. Boy: Madrygał.

Wlazł kotek na płotek
I mruga
Z tych dwu niewinnych zwrotek
Milsza będzie ta druga.
Ześ mnie już zwała swym kotem
Prosi Cię wierny twój sługa
Bądźże choć raz dla mnie płotem
Na który się włazi i mruga.



WARJACJE NA TEMAT WIERSZYKA „NIE RUSZ ANDZIU TEGO KWIATKA”



Nie rusz Andziu tego kwiatka
Róża kole rzekła matka,
Andzia matki nie słuchała
Ukłuła się i płakała.



PARODJE PIÓRA JULJANA TUWIMA

I. Mikołaj Rej: „Posłuszeństwo rodzicom wielką rozkosz”.

Wierę, najpirwej dziatkom godzi się poćciwość
Jako z ni jest żywota wszelaka szczęśliwość,
Wzdy się to w wirszu snadnie może pokazować,
Izby się rodzicielskim słowiem nie sprzeciwiać.
Rzekła matka Anusie, by róż nie ruchała,
Aleć rozważne mowy Anuś nie słuchała
Nizacz to wszystko mając, naprzeciw przestrodze,
O kolec się ukłuwszy zapłakała srodze.

II. Henryk Heine.

Dzisiaj nocą o niej śniłem
I płakałem rozrzewniony,
Moja luba była w sadzie,
Gdzie rósł róży pąk czerwony.

Ach, szczęśliwy mały kwiatek
Chciała zerwać róży pączek,
Choć ją mama ostrzegała,
By nie skaleczyła rączek.

Und die eine, kleine, feine
Poraniła się boleśnie
Und sie weinte, ach tak smętnie
Jak i ja płakałem we śnie.

III. Adolf Neuwert Nowaczyński (w wydaniu przedwojennem).

Dwa meandry

Gdy czech żelazem pracuje i stała,
To w nas kwitną złotych snów ogrójce,
Płodzą się poezjanty i przemysłobójce,
Judejcykowie falą na nas wałą,
A fe-Feldmany miss Tykę nam chwałą,
Gwizdżę na waszą romantyczną trójcę.

Katerloróże rwać — to wasza gratka,
Kwiatka poezji młódź nie zaniechała
I ustawicznie gustawicznie pała,
Niech pamiętając, co raz rzekła matka
Do Andzi, aby nie ruszała kwiatka
I jako potem Andzia — zapłakała.

IV. Stanisław Przybyszewski.

Hanka stała z utkwionemi w jeden punkt oczyma. W mózgu jej płonęły wściekle nawałnice szalonych paroksyzmów bóleści. Te róże... te róże czer-

wone... Wirski zaśmiał się... He-he... Pani patrzy na kwiaty... A róże kolą... Krew! Rozumie pani? He-he... Z histerycznem łkaniem chwyciła róże z wazonu i sama zaczęła wbijać sobie w palce długie, ostre ciernie. Ryszardzie! Miłość moja! Ryszardzie, ten obłądny taniec chuci i śmierci! Ryszardzie, ha-ha, krew! Wirski wstał, kopnął ją, napił się koniaku, wypalił nerwowo kilka papierosów i wyszedł. A Hanka szlochała. Szlochał deszcz za oknem.

V. *Or-Oi (Artur Oppman).*

Na Kanonji jest facjatka,
Co się w zwojach bluszczu chowa,
Mieszka w niej z córeczką Andzią
Zacna pani Maciejowa.

Cnót mieszczańskich zawždy pomna,
Urodziwą córę chroni,
Kwitną mores, jak za dziadów,
Na facjatce, na Kanonji.

Kwitną także przednie róże
W oknie pani Maciejowej,
Nie rusza ich śliczna Andzia,
Ostrzeżona matki słowy.

Bowiem rzekła Maciejowa,
Jak troskliwa każda matka,
Róża kole, moja Andziu,
Nie rusz tedy tego kwiatka.

Płyną lata, lata płyną,
Kiedys Andzia zapomniała,
W dłoń dziewczęcą kwiat chwyciła,
Ukłuła się i płakała.

VI. Tadeusz Miciński.

Ja — bardów król.
Ja — Wareg wśród wulkanów
Od Orizawy stóp do Kamczadałów pędzę,
To los mój, los...
W Sybirach mroźnych lucyferowe siwych matek jęki:
Córko moja, Anno złotowłosa!
Żołdactwo cię hakami szarpie,
Złowieszcze pędzą harpie,
O, róży sarońskiej nie rwij dłońmi blademi,
Ellenai! Ellenai!
Rozpuszczasz zwoje złotych kos
I krwawisz sobie palce o ciernie
I płaczesz,
Królewno anhelliczna, magów gwiazdol
To los twój, los...

VII. Kazimierz Laskowski (El).

Rach, ciach, ciach, stoi chatka,
A przed chatką pani matka,
Stoi córuś przy stodole;
Córuś, córuś, róża kolel

Prosiak w błocie, kot na płocie,
Stoją pola w szczyrym złocie
Rach, ciach, ciach, dana, dana,
Stoi córuś zapłakana.

Nie pomogła matki rada,
Ukłuła się, teraz biada,
Teraz biada, zapłakana,
Rach ciach, ciach, dana, danal

VIII. *M. Maeterliffck.*

Matko, zakwitł blady kwiat...
Córko, jedzie ktoś z oddali...
Matko, pierścień w wodę wpadł...
Córko, światło się nie pali...
Matko, zerwę blady kwiat...
Córko, ktoś nas długo szuka...
Matko, czekam tyle lat...
Córko, ktoś do okna puka...
Córko, córko, kole krzew!
Matko, kwiat ten zerwać muszę!
Córko, na twych dłoniach krew!
Matko, płaczą nasze duszel

IX. *Juljan Tuwim (parodjował A. Słonimskę). Przy świetle
lamp Tungsram (Leszno. Tuwim).*

Błysk. Skojarzenie słów.
Które mówim
Nie wiedzieć czemu,

Rano, w południe scena:
Mać, kobyła brzuchata,
O sparzonych knykcjach,
Biada,
Dźwięk pada,
Rani uszy.
Jak Boga Kocham!
Jak kto ruszy,
Dam w pysk,
Dam w pysk i będę złorzeczyć!
Mówię wyraźnie: Nie rusz
Róż.
(Żeby Helenka zdechła,
Jeśli nie będziesz potym beczeć!)
Ona nic.
W każdym calu piękna,
W każdym nieustanna,
W każdym calu kobieta,
W każdym calu Anna.
Czołga się, skrada, bierze,
(Zwierzę!)Huk, huk, huk!
Na złotym wozie jedzie Bóg.
Gwiazd kaskada,
Toczy się, spada,
Dźwięk chlusta,
Dźwięk broczy
(Róże, usta,
Oczy).

Podchodzili, pytali,
Pod brodę brali.
Nie odpowiadała.
Siedzieli,
Siedzieli.
... Śmierdzieli.

*

PARODJE PIÓRA MARJANA HEMARA

X. *Adam Mickiewicz: Z „Ballad i romansów“.*

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie
Ujrzysz za miastem u drogi
Kurhan niewielki a wokół w koronie
Kwitnące róże i głogi.

Ledwie najpierwszy zaświta ranek,
Zanim skowronek zawoła,
Bieży codziennie na ten kurhanek
Pasterz z bliskiego sioła.

I najprzód staje i płacze szczerze
I smutnie poziera dokoła
A potem klęka, mówi pacierze
I temi słowy zawoła:

Maryło moja! Czwarte już lato
Jak w zimnym leżysz tu grobiel
Wciąż inną ziemia stroi się szatą
A ja wciąż płacę po tobie!

Czemuś święconą różę zerwała
Z kurhanu, owego wieczora?
Za to ci sroga wyrocznia kazała
Przemienić się w postać — upiora!

Ale mi zbrzydło już życie bez ciebie —
Podzielę twój los, nieszczęśliwa,
Gdziekolwiek jesteś, w piekle, czy w niebie!
To mówiąc kwiat róży zrywa.

A w tem się ziemia zatrząsie dokoła,
W kurhanie coś jęczy, coś kwili
I na pasterza z grobu zawoła
Duch potępionej Maryli.

Dnia następnego kurhan otwarty
Święconą wodą skrapiano
I zniknął pasterz z bliskiego sioła
I więcej go już nie widziano.

XI. *Juljusz Słowacki: z „Beniowskiego“.*

Panna Aniela wyszła przed próg chaty,
By się nasycić świeżością poranka,
Co się rozedrgał w powietrzu, skrzydlaty,
Pryskając rosą ze srebrnego dzbanka
Na kolorowe nawpół senne kwiaty,
Które chyliły się, niby kochanka
Warg czekające usteczka, nieśmiałe,
Trwożne a świętą miłością — wspaniałe!

Przez tę noc jedną rozkwitła na krzewie
W ogrodzie róża purpurowa, świeża,
Zapachem w każdym dźwięcząca powiewie,
Piękna, jak gest dziecięcego pacierza,
Jak w sercach świętej miłości zarzewie —
Na powitanie pana Kazimierza,
Ku czci kochanków, obsiadły przez chwilę
Krzew — egzotyczne czerwone motyle.
Więc się Aniela ku kwiatom zbliżyła
Białe po różę wyciągając dłonie,
A choć jej róża była bardzo miła,
Milszą się zdała na kochanka łonie —
Wtem zbladła — dłoń się o ciernie zraniła,
Co strzegły różę w zazdrosnej koronie.
Ujrzał pan Kaźmierz, jako się na dłoni
Białej ciemniejsza stokroć róża płoni.
A więc po szarpie sięgnął w mig do kieski,
Lecz ona, z bólu jeszcze walcząc echem
I w oczach srebrne jeszcze mając łezki,
Już przypinała mu różę — z uśmiechem,
Który był święty i taki niebieski,
Że mu się jego miłość zdała grzechem
Wobec kochania tego, co niepomne
Bólów ma w sobie symbole — ogromne!
O Polsko! Póki odstraszać cię będzie
Cierń, co do róży zamyka dostępy,
Póki łyzy srebrne będziesz mieć na względzie
I krwi kropelki i ból cierpień tępy,

Póty się jutrznia tobie nie rozprzędziel
Choćby dłoń miała zaszargać na strzępy —
Sięgnij po wolność poprzez cierniów pętał
Jeśli nie sięgniesz—Polsko—bądź przekłętał

XII. *Stanisław Wyspiański: Scena z „Wesela”.*

Poeta—Rachel.

Poeta

Bowiem wiedz, bowiem wiedz,
Że nie wolno kwiatów rwać!

Rachel

Kole krzew! Kole krzew!

Poeta

Zapał trać! Siły trać!
Będą łzy, będzie krew.

Rachel

Kole krzew! Kole krzew!—

Ale za to też u łona

Jedna róża jest czerwona

Warta łez, warta krwi!

Jedna róża, purpurowa!

Poeta

Serce tęskni? Dusza śni?

Rachel

Serce tęskni — sen się snowa — —

Poeta

Słowa — słowa — słowa — słowa.

Z JEDNODNIÓWKI PARODYSTYCZNEJ „JADAŃMOŚKI LITERACKIE”



I. PARODJA BALLADY EMILA ZEGADŁOWICZA

Ballada.

o powsinodze nosiwodzie kuternodze wojewodzie bezkieckim druciarzu o dudkach garczych i lipowym kwieciu jako też na poty malinach suszonvch tudzież o różnych ziólkach ze szczegółowym opisem które od jakiej boleści służy i co z tego wynikło

— błękitni się lipa — ! — ? —
— ptak nad nią przelata — frfrfr —
Od lipy wiedzie droga — — — —
naokoło świata O O O
cyrwieni się lipa
Roman Fełę scypa
a co jom uscypnie
to ona się wypnie
mu bardzo dowcipnie
oj dana — ? — !

fioleci się lipa
taka śprytne jucha
kieby ta dziewczucha

którą Roman scypa

oj rom rom ti dana dana rom

uscypnąłbyk ja ją

— lecz sie zony stracham

— kwardom ręke mają — — — ?

— ino na ciaracha — , — ; — :

oj do do moja doło

Przyseł haw

czkaw

sobkiem społem

moncydołem

jak ta trafi

z pod niecułki

stanął kapką pod lipą psia wyga

któzta wie moiściewy kto jest pirszy

z brzyga — — — ?

zbereźnie zabyrcało

i wsyćko wyleciało

na ślebodę ślepie wytrzescało

a ino rzędem jak te chałpy

zasiok chachar i krzypota

oba habazie i małpy

— tutaj — pedo haw na grani

z grapy rozdół się tumani

na krzyz i na krzyz

a mnie w głowie tyz... — !?;!: — . — ...

— a ten — pedo — sam nie rozumi

zasiok pise tak jak umi — ! — ? — .

II. PARODJE WIERSZY LECHONIA

* * *

Co noc, gdy już nas bryndza bezbrzeżna ogarnia,
Gdy mdłości przykre w brzuchu, w kabzie pustkę mamy,
Ujmuje nas za kołnierz knajpa i kawiarnia
I wyrzuca nas, jaże się kryjem nogamy.

A potem te wymioty, czasem półgodzinne,
Nim wreszcie ktoś litosny wody podać raczy.
I myśl: zjeść jeszcze befszytk — wzbudza w ustach ślinę
I popić czemś mocniejszym w tej czkawce rozpaczy.

Obżarstwo i pijaństwo.

Pytasz co w mojem życiu z wszystkich rzeczą główną?
Koniak i sznaps Ci powiem, obydwą zarówno,
I po jednym i drugim na nogach nie stoję:
Te dwie są namiętności i dwie zguby moje.
Przy stole zastawionym, pośród knajpy parnej
To one mnie ratują z melancholji czarnej,
Strumieniem srebrnym płyną na jałową duszę
Ginącą w pustych rymów wiecznej zawierusze.
Już rosół mętną smugą sączy się po fraku,
Sardynka niestrawiona smutno się odbija:
To wiem — rachunek mą kieszeń zabija.
Żeby płacić za świństwo — nie trzeba mieć smaku.

Gniew.

Ty masz różne felery, ja tylko przymioty,
Z którymi się jak z jajkiem po świecie obnoszę.

Poezja ze mnie płynie, gdy wezmę na poty,
Nalewam ją w butelki, sprzedaję za grosze.

Chodzę po Nowym Świecie jak zgłodniała lwica,
Jak pod wzrokiem pogromcy płaszczą się przechodnie;
W lustrze baru ujrzałem swe genialne lica
I zgniecione niedbale żakietowe spodnie.

Mówisz, że łyżę mam w oczach. Bo po nocy błądzą
I darmo wzrok w ciemnościach przyjaciela szuka,
Bo kto mi odda wczoraj przepite pieniądze,
Nim w strzępy mnie potarga przeraźliwa luka.

III. PARODJA WIERSZA TUWIMA „POD GWIAZDAMI”

Co pani na to?

Mieszkam teraz aż na Chłodnej
I pożywiam się szczurami,
Świetnie żyję, bom niegłodny,
Sławy pachnę odorami,
A tuż widzę za oknami
Z liljowemi żaluzjami,
Jak się w oczu tramwaj pcha mi
Czasami.

Wczoraj szedłem, dzisiaj stoję,
Szukam rymu do podwiązek,
Ale nagle obowiązek
Pędzi mnie w ustronie moje:
Przykucam w słońcu pod płótem,

Ukryty za dwa kasztany.
W tem policjant z za altany...
A ja zbladłem, wstałem, potem:
Z powrotem!

A w wieczór zerkam przez szyby
I idę smutny w swe łożo,
Widział? — A może... A może...
Przyjdzie? — A gdyby? A gdyby?

IV. PARODJA „HYMNÓW“ WITLINA

Hymn o ciepłej zupie.

Ja ci chcę dać jedną, dużą łyżkę trochę ciepłej zupy
a ile mi dasz?

Ale ty wiedz, że ja jestem twoim bratem,
a zatem
masz!

Ty mój kochany bracie! O coś ty się tam na śmierć bił?
Za co tobie gryzły rude wszy?
To jest paskudny robak,
tfyl!

(Czy ty nie masz Maoku?)

Ja ci chcę dać jeszcze jedną łyżkę letniej zupy,
bo sam jestem po obiedzie.

Co, ty nie chcesz?

Ty udajesz trupa?

Uj, jaki ty jesteś głupy...

To bardzo smaczna zupa!

*

V. PARODJA WIERSZY MARJI PAWLIKOWSKIEJ

Z a g a t k i.

BUTY.

Coś dziwnego wyskakuje z ziemi,
Jak zablocone buty.
A panny się chylą nad niemi
I z butów składają bukiet.

SŁONIE.

Słonica senna i naga nie czuję tęsknicy,
Leżąc spogląda w trąbę słonia. Do słonicy
Słoń się przybliża, cały w sadle i męskości
A stara panna patrzy i płacze z zazdrości.

TO.TO.

Gdy się miało coś, a potem się nic nie ma,
Choć tyle się już wierszy napisało —
A zostaje duchowa anemja —
To to jest bardzo mało.



Z P A M F L E T U „D Z I U R A“
(WYDAWCA A. SŁONIMSKI)



I. PARODJA „SŁOPIEWNI“ TUWIMA

Złowypn e.

I

A gdzie pod pasem wypina,
Tam puchła łupina przepuklina.

Isia woda, siusia woda po kaftanie
Dudni w spodni dopajego, bo nie kłamie.

A po szczecinie biją, aż wionie w kalesonie
A i tam rzą wesoło te muranowskie konie.

II

W białotrzewiu właśnie bzdzi bezpiecznie
Młodzik cioci z zapalem użyźnie,
Trzewia pełni puszczelą i psieczną,
Psi psi przy śnie ciśnie w pępek wiśniel

A gdy skąpiec na powłoczku skiśnie,
W ciemne ciemie zaświergołą ptakiem,
W białotrzewiu siknie osobiście,
A Tuwimiak przystanął za krzakiem



II. PARODJA WIERSZA WIERZYŃSKIEGO

R a n o.

Hopl skaczę z łóżka jak młodo,
Servus, kl....ie kochany!
Oblewam się trochę z wodą,
W pięć minut jestem ubrany.

Nie mogę tam długo siedzieć,
Nie biorę z sobą dzienników.
Po co mam więcej wiedzieć
Od braci mych uliczników!

Zrobię na schodów poręczy
Jak z nimi dziesięć lat temu,
Nic mnie nie męczy, nie dręczy!
Dzień dobry, dzień dobry każdemu!

Ulice i domy tańczą,
Wszystko w popłochu ucieka,
Ach! świat ten jest pomarańczą,
Która mi z tyłu wycieka.



PARODJA BIBLJOGRAFJI



(WYJĄTKI Z NUMERU PARODYSTYCZNEGO „PRZEWODNIKA BIBLJOGRAFICZNEGO)

Askenazy Szymon. Napoleon, Polska i ja. Wydano staraniem Komitetu przyjaciół i wielbicieli autora pod przewodnictwem prof. St. Kutrzeby, Wł. Kopczyńskiego i M. Handelsmana. Warszawa. Perzyński i Niklewicz. 1925. 4^o. str. 1000.

Bernacki Ludwik jun. Cennik bufetu w teatrze Stanisława Augusta. Tom dodatkowy do dzieła „Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta“. Lwów. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. 1925. 8^o w. str. IX + 146 + 12 tabl. jądłospisów.

Bernacki Ludwik jun. Najstarszy polski bilet wizytowy. Studium biblijograficzne. Z 163 podobiznami. Tom I. Literatura. Tom II. Źródła. Tom III. Materjały. Tom IV. Notatki. Tom V. Studja. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1925. 8^o w. T. I. str. XV + 784. T. II. str. 932. T. III. str. 861. T. IV. str. 890. T. V. str. 632 + 163 podobizn. Zł. 850.

Birkenmajer Aleksander. Szesnasta karta rękopisu Nr. 2798 Biblioteki Jagiell. i inne szesnaste

karty innych rękopisów, innych bibliotek. Kraków. 1925. 4^o. str. 78.

Odbitka z „Exlibrisu“.

Bruchnalski Wilhelm Prof. Uniw. Lwow. Józef Kallenbach. Portret psychologiczny. Lwów. Gubynowicz. 1925. 8^o. str. 150.

— Krytyczne zestawienia pierwszych liter we wszystkich wierszach „Pana Tadeusza“ jako wstęp do umiejętności literatury polskiej. Lwów. Nakładem Koła Polonistów. 1925. 8^o. str. 854.

— Wyobrażenia jako podstawa obliczeń statystycznych literatury polskiej. I. Zbicie oszczerczego zarzutu moich wrogów, jakoby ilość penegiryków w Polsce przekraczała cyfrę 7654·053. II. Ostateczny dowód, że ilość manuskryptów pergaminowych do papierowych w Polsce ma się jak 59:152. Ze skradzionych przez Rusinów notatek zrekonstruował sen. Dr. Józef Buzek. Warszawa. Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego. 1925. str. 4.

Bystron Jan Stanisław. Geneza i warjanty pieśni „Pani dziś jest bez koszulki“. Lwów. Nakładem Towarzystwa Ludoznawczego. 1925. 8^o. str. 32.

Odbitka z czasopisma „Lud“.

Goethe Jan Wilkołaz. Pięść. Jedna tragedia. Przełożył Leon Wachholz. Wydanie drugie, poprawne. Warszawa. Gebethner & Wolff [1935]. str. 230.

Grabski Stanisław Minister W. R. i O. P. Poznaj swój kraj! Z Warszawy do Sulejówka i z po-

wrotem. Warszawa 1925. Nakł. Towarzystwa Krajoznawczego. 8^o. str. 23.

Bibl. „Nasz Kraj“ pod redakcją Aleksandra Janowskiego.

Grzymała - Siedlecki Adam. Widły jako broń narodowa. Odbitka z „Warszawianki“. Warszawa. 1925. 8^o. str. 30.

— Mydło jako sztuka narodowa. Przemówienie na uroczystości otwarcia Teatru Narodowego. Warszawa. Nakład Związku ludowo-narodowego. 3^o. str. 60.

Hoesick Ferdynand. Wspólna miłość Słowackiego i moja. Tajemnica zawołowanej pani. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1925. 8^o. str. 789.

Kallenbach Józef Prof. Uniw. Jagiell. Nieznany spis garderoby domowej domniemanego pradiadka Jacka Soplicy z r. 1727. Wilno, Nakł. Uniw. Stefana Batorego. 1925. 8^o. str. XXIII + 2 z licznymi podobiznami.

Kallenbach J. — zob. nr. 4334. 4471.

Kowalski Tadeusz. Pierogi z kapustą jako potrawa spożywana przez ś. Jacka w czasie głodu na misjach wśród Kumanów. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1925. 8^o. str. 146.

Prace Komisji Orientalistycznej Polskiej Akademii Umiejętności. Nr. 9.

Kukiel Marjan generał. Studja taktyczne tom X. Zdobycie Sulejówka. Warszawa. Nakł. Wojskowego Instytutu naukowo-wydawniczego. 1925. 4^o. str. 412 + 23 tablic.

Makuszyński Kornel. Urywki z pamiętnika.

I. Pierwsza ćwiartka papieru w mym żywocie. II. Co zawdzięczam Zakopanemu i Żydówkom. Gniezno. Nakł. Jana Kasprowicza. 1925. 16^o. str. 88.

Mickiewicz Adam. Pisma wszystkie. Objąsnił Jan Bystrzycki. Tytuł układu Józefa Kallenbacha. Tom I. Kraków. Krakowska Spółka Wydawnicza. 1925. 8^o. str. XVI + 372.

Mickiewicz A. — zob. Nr. 4502.

Molę V. — zob. Nr. 4508.

Pasek Jan Chryzostom. Pamiętniki. Z francuskiego przekładu P. Cazin'a przełożył na polskie Tadeusz Boy-Żeleński. Warszawa. Nakł. Biblioteki Boy'a. 1925. 8^o. str. IV + 256 + 3 nlb.

Piekarski Kazimierz. Nieodkryty fragment nieznanego urywku niedrukowanego Sowizdrzała w zaginionem tłumaczeniu czeskiem lub polskiem. Drobny przyczynek do bibliografji polskiej. Kraków. 1925. 16^o. Kart. nlb. 2 + str. 1 + k. czystych 6.

Odb. z „Marginaliów”, zes. 7.

Piłsudski Józef, b. Naczelnik Rzplitej Polskiej. Jak uniknąłem błędów Napoleona? Kraków. Osobne odbicie z 547-go wywiadu w „Illustr. Kurjerze Codz.” Str. 2.

— „Ja i ojczyzna to jedno”. Słowa Adama Mickiewicza definitywnie wyjaśnił.. Warszawa. Nakładem Prezydjum Związku Legjonistów 1925. 8. str. 44. Z portretem autora.

— Najnowszy kodeks obyczajów i zwyczajów politycznych. Do druku przygotował i spisem zasadniczych wyrażeń etykiety Marszałka zaopatrzył

jen. dyw. Stanisław Haller. Warszawa. Nakładem Związku b. oficerów armji austriackiej. 1925. 8^o. str. 64.

Piśsudski J. — zob. Nr 4403, 4525.

Prace komisji historii sztuki Polskiej Akademji Umiejętności. Tom IV. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1925. 4^o. str. 482 + 42 tabl.

Treść: 1. Juljan Pagaczewski. Dywanik nad mojem łóżkiem. Studja nad dziejami przemysłu żydowskiego w Krakowie w 2-iej połowie XIX-go wieku. z 26 ilustr.— 2. Helena d'Abancourt. Nowe materiały do jednego z obcasów Anny Jagiellonki, z 4 ilustr. — 3. Adam Bochnak. Nieznany klucz do piwnicy przy ul. Florjańskiej 40, z 11 podobiznami.— 4. Stanisław Tomkiewicz. Klamki domów krakowskich — 5. Leonard Lepszy. Ozdobne pudełko na guziki Filipa Kallimacha. — 6. Stefan Komornicki. Daszek na ganku dworku w Dębnikach. — 7. Adam Chmiel. Szpilki do włosów w zbiorach Miejskiego Muzeum w Krakowie.

Rostworowski Karol Hubert. O ile ja i Dante stoimy wyżej od Żeromskiego? Kraków. Nakł. „Głosu Narodu“. 1925. 8^o. str. 30.

Rozprawy Wydziału matematyczno-przyrodniczego Polskiej Akademji Umiejętności. Serja XIV. Tom DCV. Kraków. Polska Akademia Umiejętności. 1925. 8^o. str. 653.

Treść: Godlewski Emil. Zaburzenia w rozwoju embrjonalnym kury domowej (*Gallina domestica*) pod wpływem lektury bajek zwierzęcych Ezopa Polskiego. — Natanson Władysław. O temperaturze krytycznej patosu. — Heinrich Władysław. O wahanich natężenia zaledwie dostrzegalnych. Przyczynę do doświadczalnej psychologii twórczości filozoficznej. — Hoyer Henryk. O zachowaniu się jąder podczas konjugacji wymoczka *Colpidium Colpoda* St — Konstancki Kazimierz. Podział mitotyczny jąder bez podziału plazmy w jądkach *Mactry*, rozwijających się partenogenetycznie — Siedlecki Michał O budowie, zwyczajach weselnych, sposobie życia i rozwoju jawańskiej żaby latającej (*Rhacophorus Reinwardtii* Siedl.). — Zakrzewski Konstanty O sile elektrycznej. powstającej wskutek ruchu cieczy w kieliszku szklanym.

Rozwadowski J M. — zob. Nr. 4483, 4521.

Sikorski Władysław, b. prezes Rady Mi-

nistrów, inżynier. Od Witosza do Thugutta i z powrotem. Studja z pomiarów politycznych. Kraków. Nakładem „Piasta“. 1925. 8^o. str. 24, z dwiema tablicami.

Sikorski W. — zob. Nr. 4358, 4443.

Tatarkiewicz Władysław Prof. filozofji na Uniwersytecie Warszawskim. Czy Stanisław August nosił getry? Przyczynek do poglądów filozoficznych epoki. Warszawa. 1925. 8^o. str. 18.

Odbitka z „Przeglądu filozoficznego“.

— **Szczęście i jego realizacja.** Trzy odczyty dla hospitantek. Warszawa. Nakład Szyller-Szkolnika. 1925. 8^o. str. 148.

Wachholz Leon. Uwiedzenie czy zgwałcenie? Sprawa Fausta i Małgorzaty wobec Kodeksu Karnego b. trzech zaborów. Kraków. Nakł. J. Czerneckiego. 1925. 8^o. str. 218 i 7 tablic.

Wachholz L. — zob. Nr. 4386, 4325.



BIBLIOTEKA HUMORU

Rozpisywać się na temat humoru, zachwalać dobroczynne skutki tej przedziwnej właściwości ducha ludzkiego, zachęcać bliźnich do czerpania pogody ze skarbnicy śmiechu, słowem reklamować to, co reklamy nie potrzebuje, gdyż jest przyrodzonym pożądanym każdego serca ludzkiego? Dumni z godności swego człowieczeństwa, zastanówmy się, że tylko mowa i śmiechem górujemy nad zwierzętami. Ten dany nam od Stwórcy przywilej ludzki jest skarbem naszym najcenniejszym, jest genjuszu człowieczego żywym i odwiecznym dokumentem.

BIBLIOTEKA HUMORU

będzie niejako archiwum, gromadzącem najcelniejsze dzieła humoru wszystkich czasów i narodów, będzie barwną ciekawą encyklopedją utworów, których źródłem i ujściem był śmiech. Wszystko co powstało w literaturze z ducha dowcipu, satyry, groteski i ironji, komizmu, żartu, parodji, wszystko, co w dziejach piśmiennictwa powstało z owego specyficznego na świat i ludzi wejrzenia, któremu humor na imię, wszystko to znajdą czytelnicy „Biblioteki Humoru“ w skondensowanych wyciągach, antologjach i opracowaniach. Każdy tomik „Biblioteki Humoru“ poświęcony będzie bądź oddzielnemu pisarzowi (najznakomitsze wyjątki z dzieł humorystów polskich i obcych), bądź epoce lub zjawisku.

Tomiki „Biblioteki Humoru“ ukazywać się będą co 2 tygodnie. Każda książeczka objętości 5–6 arkuszy druku, w barwnej okładce, stanowić będzie całość. — Redakcję wydawnictwa objął Juljan Tuwim. Cena oddzielnego tomiku zł. 1.— w prenumeracie kwartalnej za 6 tomików zł. 5.—

SPIS TOMIKÓW
BIBLIOTEKI HUMORU

znajdujących się w obiegu, w druku lub w przy-
gotowaniu

- Bon Mot.** Dowcip francuski w panoramie
wieków
M. Gogol. Opowieść o kłótni Iwana Iwanowi-
cza z Iwanem Nikiforowiczem
Humor amerykański
Teffi. Dym bez ognia
Humor Starej Anglii
Antologia polskiej parodji literackiej
Tristan Bernard. Wybór humoresek
Dowcip żydowski i jego filozofja
O. Henry. Bluff
Th. Bailey Aldrich. Romans z Rivermouth
Weber „Demokritos”. Wybór pism
A. Czechow. Wybór humoresek
Cami. Opowiadania
Mund Pochhammer. Niezwykłe przygody ba-
rona Münchhausena
Stephen Leaceck. Humor i humbug
Curiosa prasowe
Hasse Zetterström. Pies dynamitowy
Mynona. Groteski
Victor Auburtin. Basen ze złotemi rybkami
Roda Roda. Wybór pism.

KATALOG POWIEŚCI, NOWEL I UTWORÓW DRAMATYCZNYCH

WYDANYCH NAKŁADEM

TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12. TELEFON 244-14

| | Zł. gr. |
|---|--------------------------------------|
| Augustynowicz J. W przyzmacie | 1,20 |
| Bedier J. Dzieje Tristana i Izoldy odtworzone wedle dawnych legend i poematów. Przełożył Boy. Wyd. drugie * | — — |
| Brodowski T. Drzewa. Nowele i myśli | 1,20 |
| Choromański L. Pościg za słońcem. Nowele | 1,60 |
| Dąbrowska M. Uśmiech dzieciństwa | 1,60 kart. 3,50 |
| — Ludzie stamtąd | 4,50 opr. ozd. 10,50 |
| France Anatol. Wybór pism w przekładzie Jana Stena | |
| — tom I Pisma krytyczne | |
| — — II Gospoda pod królową gęsią nóżką | |
| — — III Nowele | |
| — — IV Tais | |
| — — V W cieniu więzów | |
| — — VI Manekin trzciniowy | |
| — — VII Pierścień z ametystem | |
| — — VIII Wyspa pingwinów | |
| — — IX Bogowie łakną krwi | |
| Garszyn W. Czerwony kwiatek | 1,60 |
| Geijerstam G. Książka o małym bracišku | 1,60 kart. 3,50 |
| Jur P. Wiosenne dni. Powieść | 2,50 |
| Kaden J. Łuk. Powieść | 2,50 w opr. 4,— wyd. lep. w opr. 5,— |
| Korczak J. Bobo * | — — |
| — Bezwstydnie krótkie | 1,— |
| — Kiedy znów będę mały | 4,50 w opr. pł. 6,— |
| — Sam na sam z Bogiem. Modlitwy tych, którzy się nie modlą | —,80 w opr. 1,80 |
| Lagerlöf Selma. Wspomnienia. Zebrała i przełożyła J. Mortkowiecowa | 2,— w opr. 3,50 |
| Louis Piotr. Pieśni Bilitis. Przełożył L. Staff | 1,50 w opr. 2,50 |
| Mirandola. Tempore Belli | 1,20 |
| Nalepiński T. Kazia. Powieść | 1,50 w opr. 3,20 |

Wyczerpane

| | Zł. gr. |
|--|---------|
| Nałkowska-Rygier Z. Hrabia Emil. Powieść 1,50 w opr. | 3,— |
| — Moje zwierzęta. Ilustracje C. Aldina | 3,50 |
| — Węże i róże * | — |
| Novalis. Pisma tom I. Henryk Offterdingen | 1,50 |
| Nowaczyński-Neuwert A. Smocze gniazdo albo wybawienie djabła z szlacheckiej opresji. Dramat 1,20 wyd. lep. | 2,50 |
| Orkan Wł. Młoda Ukrainia. Wybór nowel zebrał i tłumaczył | 1,80 |
| Poe E. A. Nowele o miłości opr. | 4,60 |
| — Arabeski tom I i II przekł. St. Wyrzykowskiego 3,70 opr. | 6,20 |
| Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przełożył L. Staff 1,20 opr. | 2,20 |
| Rolland R. Beethoven. Przełożyła M. Zabojecka 1,50 opr. | 2,50 |
| — Piotr i Łucja 1,50 opr. | 3,— |
| Rostworowski K. H. Straszne dzieci, z ilustrac. J. Mehoffera | 1,50 |
| Sieroszewski W. Bajki * | — |
| — Beniowski. Powieść hist. * | — |
| — Ocean. Powieść hist. w opr. | 6,60 |
| — Zamorski Djabł. Powieść * | — |
| Staff L. Fletnia chińska 2,50 kart. 4,— w opr. ozd. | 5,— |
| — Ogród pieszczot 1,50 w opr. | 2,50 |
| Strug A. Chimera. Powieść | — |
| — Dzieje jednego pocisku. Powieść opr. | 3,20 |
| — Portret. Powieść * | — |
| Walewska Jehanne M. (hr. Wielopolska). Faunessy. Powieść dzisiejsza * | — |
| — Kryjaki! O 63 r. opowieść. Z przedm. St. Żeromskiego * | — |
| — Synogarlice * | — |
| Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej 2,— opr. | 3,50 |
| Zieliński T. Irezyona. Klechdy Attyckie serja 1-a 1,60 kart. | 2,50 |
| — " " " " serja II-a 1,60 kart. | 2,50 |
| — " " " " serja I i II raz. opr. pł. | 5,80 |
| Żeromski S. Aryman mści się. Godzina 2,— opr. pł. | 5,— |
| — Biała rękawiczka 1,50 opr. pł. | 4,50 |
| — Bicz z piasku 3,— opr. pł. | 6,— |
| — Charitas. Pow. współ. brosz. 4,20 kart. 6,20 opr. pł. | 7,20 |
| — Dla młodzieży. Książka pierwsza 1,60 kart. | 3,50 |
| — " " " druga 1,60 kart. | 3,50 |
| — " " " I i II razem opr. pł. | 6,50 |
| — Duma o hetmanie 3,20 opr. pł. | 6,20 |
| — Dzieje grzechu 2 tomy 12,— opr. pł. | 18,— |
| — Echa leśne | —,75 |
| — Inter Arma | 1,— |
| — Ludzie bezdomni 2 tomy 10,— opr. pł. | 16,— |
| — Między morze wydanie zwykłe 2,50 opr. pł. | 5,50 |
| — Między morze wyd. wytw. 5,— opr. pł. 9,— opr. w morze | 12,— |
| — Mogiła 2,50 opr. pł. | 5,50 |
| — Nawracanie Judasza 6,— kart. 8,— opr. pł. | 9,— |
| — O Adamie Żeromskim wspomnienie | 3,— |

F
25